NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie 988·— Marek, Półrocznie 1976·— Mk. Rocznie 3952·— Mk. Ameryka: 8 dolarów rocznie Numer pojedynczy 15 centimów.

Zmiana adresu 1 Markę.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 20 Mp na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mp. 30·—, za wiersz petit. w części redakcyjn. 50 Mp. — Zamiejscowe o 50 %, zagraniczne o 100 % drożej.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 672.

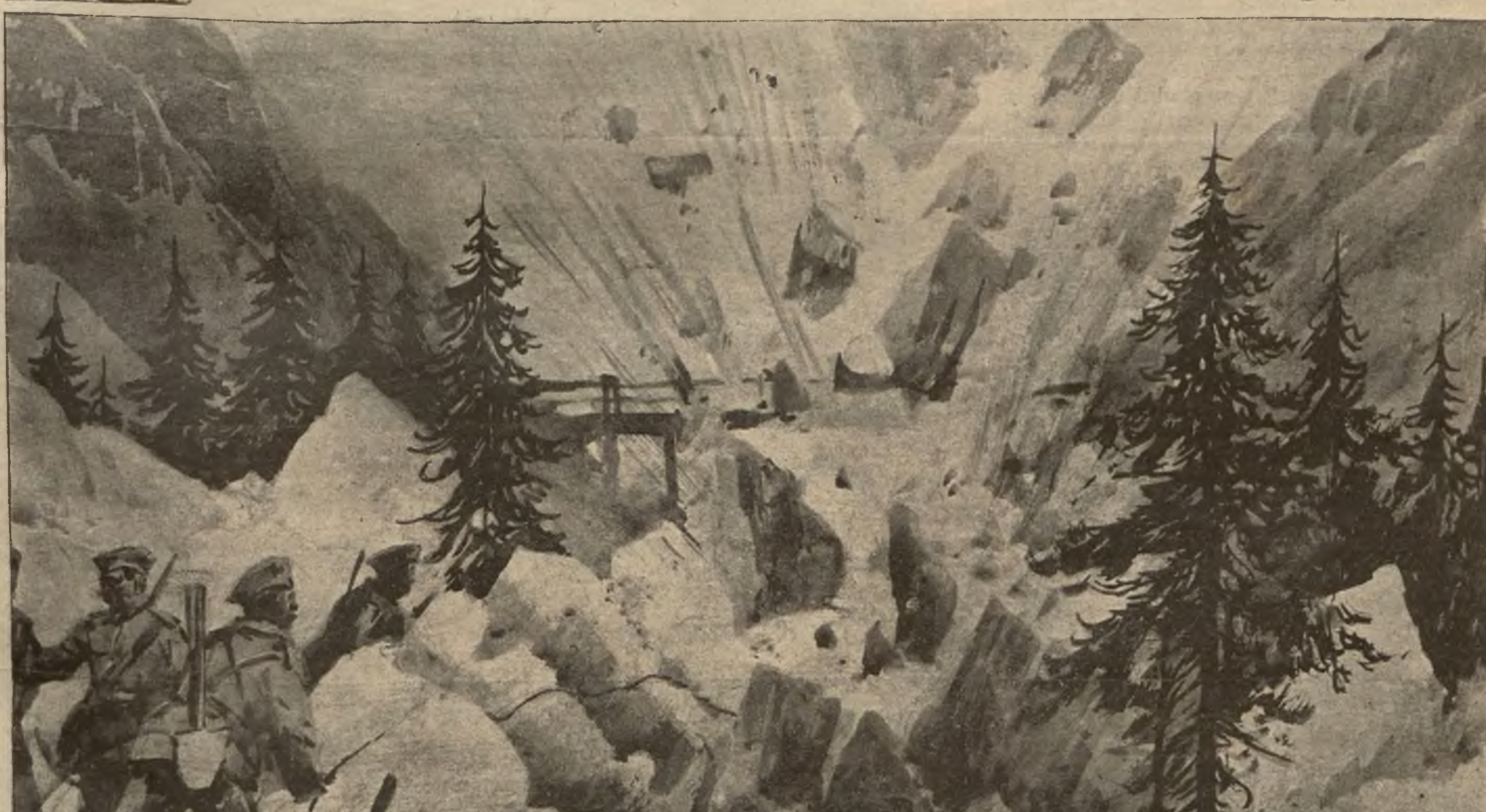
Naczelny i odpowiedzialny redaktor: **Julian Bartoszewicz.**

W Warszawie do nabycia wszędzie. **„Promień", Łódz, Piotrkowska 81.**

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. Numer pojedynczy 80 Marek.

Rok XIX. Kraków, 11 marca 1922. Nr. 10.

Katastrofa powodzi



Rozsadzanie ekrazytem przez saperów zatoru lodowego, utworzonego na Dunajcu w Pieninach.

Katastrofa powodzi.

(Do illustracyi tytułowej).

Zwykłe następstwo każdej prawie zimy, powodzie podczas tajania śniegów i pękania lodów, nawiedziły w tym roku kraj nasz w daleko większej mierze, niż po inne lata. Tegoroczne obfite opady śniegowe prawie od połowy listopada, były powodem nagromadzenia się znacznych mas śniegowych, które skutkiem stale utrzymujących się silnych mrozów nie mogły powoli stajać i częściowo spłynąć, jak to bywało niejednokrotnie w latach poprzednich, bardziej nawet śnieżnych, niż zima, którą szczęśliwie ukończyliśmy, choć może się ona jeszcze dać we znaki. W każdym razie przecież najgorsza i najcięższa jej część należy już do przeszłości. Możemy mieć jeszcze i śniegi i mrozy, ale nie mogą one być już zbyt długotrwałe i dokuczliwe, gdyż wiosna zaczyna się upominać o swe prawa.

Zwłaszcza w Karpatach nagromadziła się ogromna masa śniegu, który skutkiem nagłej odwilży począł tajać raptownie, grube kry lodowe, następstwo ciężkich mrozów, w wąskich korytach rzek górskich potworzyły liczne zatory, gdzie zaś udało się im szczęśliwie spłynąć w dół, pozrywały bodaj wielką liczbę mostów, utrudniając w wysokim stopniu komunikacyę. Równocześnie wezbrały dopływy należące do dorzecza Wisły i Dniestru, stąd też Małopolska narażoną była na daleko większe szkody, wywołane powodziami, niż była Kongresówka. Szczególniej górskie dopływy Wisły wezbrały znacznie i to prawie równocześnie, niosąc ze sobą zwały lodowe, które poniżej Sandomierza utworzyły kilku kilometrowej długości zator, wobec czego cała masa wezbranej wody wiślanej przerwała wał ochronny od strony byłej Kongresówki, tworząc sobie przez okoliczne pola sztuczne koryto. W dniu 3 marca stan wody na Wiśle pod Sandomierzem, poniżej zatoru, wynosił prawie trzy metry ponad zwykły poziom. Ucierpiały także nadbrzeżne okolice średniego biegu Wisły, w mniejszym jednak stopniu, niż w górnym.

Najwięcej trudności sprawiało usunięcie zatorów w okolicach górzystych, przedewszystkiem na Dunajcu w Pieninach, gdzie lody z rozsadzonego przez saperów w jednem miejscu zatoru, tworzyły w krótkim czasie poniżej nowy.

Stosunkowo lepiej wyszła wschodnia część Małopolski, gdzie w dorzeczu Dniestru lody spłynęły spokojniej, niż w zachodniej, powódź zatem nie wyrządziła tam tak dotkliwych szkód.

Z całem uznaniem podnieść należy akcyę ratunkową, przeprowadzoną umiejętnie i sumiennie, częstokroć z narażeniem własnego życia, przez naszych dzielnych saperów.



Zbrojenia Niemiec na Górnym Śląsku: Dom pewnego piekarza w okolicy Gliwic, gdzie na strychu odkryto tajny skład broni.

Zbrojenia Niemiec na Górnym Śląsku

Zapewnieniom swym, że nie myślą bynajmniej o odwecie na Francuzach, a tem mniej o podjęciu jakiejś akcyi zaczepnej wobec któregoś innego sąsiadów, zadają sami Niemcy kłam organizując się ciągle militarnie w całym kraju i tworząc, zwłaszcza na swych kresach wschodnich i zachodnich, tajne arsenały i magazyny, zaopatrzone obficie we wszelki materyał wojenny. Szczególniejszą troskliwością otoczone są wschodnie kresy, to jest Górny Śląsk, gdzie każdy niemal dom to skład broni i amunicyi, a każdy mieszkaniec niemieckiego pochodzenia, o ile nie należy otwarcie do jakiejś bojówki, to cichy członek organizacyi wojskowej, czekający tylko na rozkaz stawienia się w szeregi.

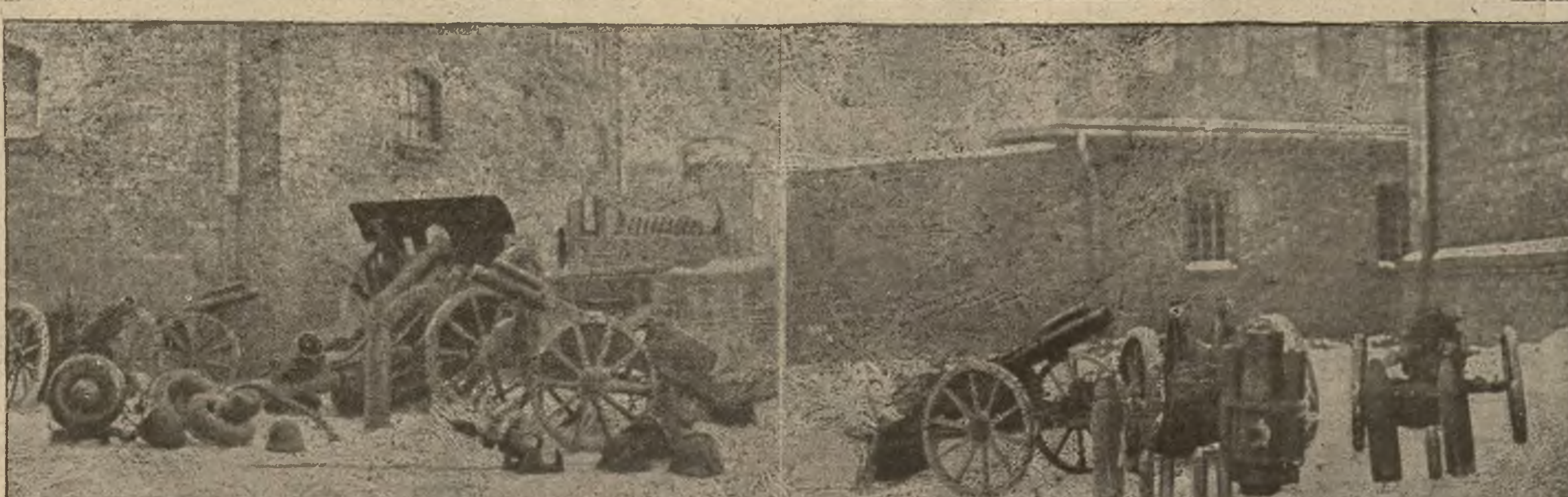
W ostatnich dniach stycznia i początkach lutego udało się władzom wojskowym francuskim wpaść w Gliwicach, które są głównem centrem niemieckich organizacyi bojowych i ich okolicy na tajne arsenały i magazyny, a połów był tak obfity, że na przewiezienie skonfiskowanego materyału wojennego z jednej tylko fabryki w „Hucie Gliwice“ trzeba było użyć piętnastu samochodów ciężarowych. Ponadto skonfiskowano na odwachu policyjnym w Gliwicach, znaczny zapas broni. W rzeźni gliwickiej znaleziono skład broni, mundurów i hełmów stalowych. W mieszkaniu orgeszowca Wowera znaleziono 200 karabinów i amunicyę. W „Hucie Państwowej“ znaleziono 430 pocisków armatnich 10 ctm., 100 karabinów, 150.000 naboi karabinowych, 173 hełmy stalowe, 2 miotacze min, 18 karabinów maszynowych, 800 granatów ręcznych, oraz wielką ilość materyału wojennego.

W związku z temi poszukiwaniami pozostawały liczne aresztowania.



Zbrojenia Niemiec na Górnym Śląsku: Skonfiskowany przez władze koalicyjne w Gliwicach materyał wojenny bojówek niemieckich pomieszczony w składzie 46 dyw. fran.

Nienawiść Niemców wobec wojsk francuskich rośnie z każdym dniem, jak świadczy o tem zuchwały napad, dokonany przez bojówkę niemiecką. W kilka godzin po dokonaniu przez władze koalicyjne rewi-



Zbrojenia Niemiec na Górnym Śląsku: Armaty, miotacze ognia i min, reflektory elektryczne i t. d., skonfiskowane w dwu fabrykach na przedmieściu Gliwic

zyi w domu Niemca Brinscha, podczas której znaleziono 8 ciężkich karabinów maszynowych, 100 karabinów ręcznych, przeszło 500 tysięcy nabojów i wiele materyału wojennego, zaatakowali orgeszowcy o godz. 1 i pół w nocy posterunki we dworze i w szkole w Sobiszowicach.

Akcyę podjęli bojowcy niemieccy równocześnie w obu punktach, co świadczy, że była ona planową i obmyślaną. Na szkołę rzucono kilka granatów ręcznych, a dwór obstrzelano z karabinu maszynowego. Francuzi, których w szkole znajdowało się 50, a we dworze około 100, odpowiedzieli ogniem. Strzelanina trwała godzinę, poczem o godz. 2 i pół w nocy napastnicy cofnęli się, pozostawiając na placu walki 3 zabitych i jednego ciężko rannego. Udało się stwierdzić identyczność zabitych, przyczem okazało się, że są to znani sztostruplerzy, a wśród nich jeden z głównych przywódców Orgeszu. — Straty Niemców są daleko znaczniejsze, zdołali jednak unieść część zabitych i rannych. Francuzi doznali również poważnego uszczerbku, stracili bowiem 2 zabitych i 25 rannych, z których kilku już zmarło. Komisya międzysojusznicza oprócz zawieszenia obostrzonego stanu oblężenia, zakazała także osobom nie zamieszkałym stale w Gliwicach pobytu w mieście. Wszelkie organizacye samoobrony będą ścigane jak najsurowiej, a członkowie ich oddani pod sąd nadzwyczajny. Unieważniono również wszelkie pozwolenia na noszenie broni i wprowadzono cenzurę pism wychodzących w Gliwicach, oraz telegramów prasowych.

Rząd francuski wdrożył z tego powodu u rządu niemieckiego energiczne kroki, żądając zadośćuczynienia. Niemcy, jak zwykle, tłómaczą się wykrętnie i usiłują dowieść, że o niczem nie wiedzą, jest to bowiem akcya czysto prywatna, z którą rząd nie ma nic wspólnego.



Zbrojenia Niemiec na Górnym Śląsku: Grupa Niemców z Gliwic i okolicy, aresztowanych przez władze koalicyjne z okazyi poszukiwań za tajnymi składami broni.

O odbudowę szpitala Braci Miłosierdzia w Krakowie.

Krakowski Konwent Braci Miłosierdzia wydał do społeczeństwa polskiego następującej treści odezwę, którą polecamy gorąco naszym P. T. Czytelnikom.

„W odrodzonej cudem Ojczyźnie naszej powracają także do życia rozmaite instytucye użyteczności publicznej, które znikły skutkiem prześladowania wrogów. Do nich w pierwszym rzędzie należy Prowincya polska Zakonu Braci Miłosierdzia, zwanych u nas Bonifratrami.

Sławną tę ongi Prowincyę tworzyło 16 Konwentów z tyluż szpitalami rozsianych po całym kraju, od Wilna po Spiż, od Gdańska po Lwów, z domem macierzystym w Krakowie, gdzie Bonifratrzy osiedli R. P. 1609 za panowania Zygmunta III. Z Prowincyi tej, która wydała w ciągu trzech stuleci męczenników, pomordowanych za wiarę przez Szwedów i Siedmiogrodzian, dzielnych sanitaryuszy w wojskach Jana III, wielu lekarzy znakomitych i zastęp cichych, bezimiennych infirmarzy, pielęgnujących chorych, zostało z biegiem czasu na ziemiach polskich tylko trzy Konwenty: w Krakowie, Zebrzydowicach (Małopolska) i Marysinie (fund. w Poznańskiem przy końcu ub. wieku przez hr. Marcelego Żółtowskiego).



O odbudowę szpitala Braci Miłosierdzia w Krakowie: Wnętrze jednej z sal szpitalnych z czasów przedwojennych.

Po zniesieniu zaś ostatniego Konwentu Bonifratrów w Warszawie 1864 r. zniknął na ziemiach polskich ślad Prowincyi tegoż Zakonu, Konwenty bowiem w Krakowie i Zebrzydowicach włączono do Prowincyi czesko-austryackiej, a Konwent w Marysinie, do Prowincyi prusko-śląskiej.

Teraz atoli Prowincya polska powstaje do nowego życia, a w skład jej wejdą Konwenty w Zebrzydowicach, w Cieszynie (dawny Śląsk austryacki), w Bogucicach (Górny Śląsk) i Marysinie, mając na czele starodawny Konwent krakowski.

W chwili wybuchu wojny światowej posiadał Konwent krakowski szpital na 120 łóżek, mieszczący się w gmachu wzniesionym w r. 1906 wedle ostatnich wymagań wiedzy lekarskiej i wygody chorych.

Od jesieni 1906 r. po koniec lipca 1914 r. pielęgnowano w nim 13.328 chorych (w tem 1.033 żydów), z tej ogólnej liczby 9.100 osób bezpłatnie. Oprócz tego istniały przy szpitalu: ambulatoryum chorób wewnętrznych, chirurgiczne, oczne, chorób skórnych oraz ambulatoryum dentystyczne, wszystkie te oddziały udzielały przychodnim ubogim porady, względnie dawały opatrunki bezpłatnie. W samym tylko ambulatoryum dentystycznem przez powyższy okres czasu udzielono pomocy 306.600 osobom.

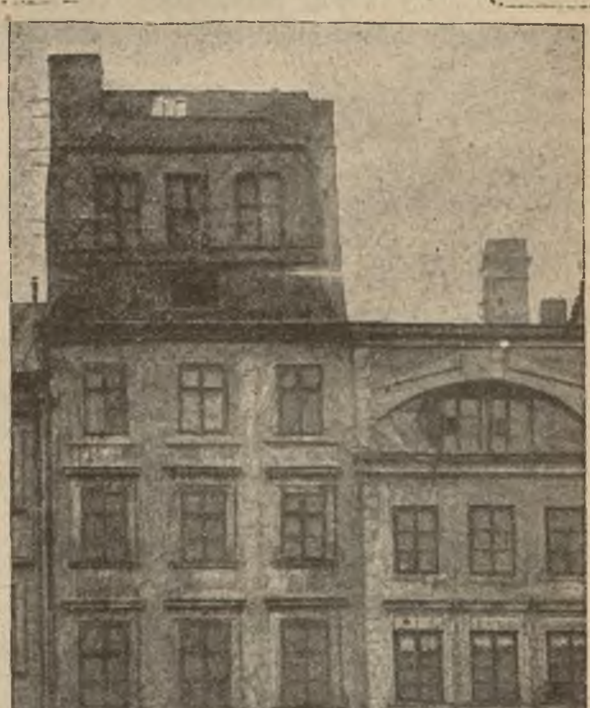
Suche te cyfry mówią same za siebie. Ale ich wymowa zwiększy się się znacznie, gdy weźmiemy na uwagę niesłychane przepełnienie w klinikach uniwersyteckich i w szpitalu wyzn. gm. żydowskiej, z którego mogą korzystać mieszkańcy Krakowa i okolicy. Iluż to nędzarzy nie mogąc dostać się tam albo dla braku miejsca, lub też nie będąc w możności opłacenia kolosalnie wysokiej taksy szpitalnej, kołata do wrót Szpitala Bonifratrów i zostaje tam za darmo przyjęty???...

Niestety dnia 2 sierpnia 1914 r. wojskowość austryacka zarekwirowała szpital ten na swój użytek (na szpital chorób zakaźnych), a później w dniu 1 listopada 1918 r. objęła go wojskowość polska i zatrzymała do dnia 1 listopada 1921 na ten sam cel.

Szpital zwrócono Bonifratrom w stanie najzupełniejszego zniszczenia. Wodociągi, centralne ogrzewanie, kanalizacya, podłogi, drzwi. okna, dach nawet, potrzebują gruntownej naprawy. Uległy też zniszczeniu dwie wspaniale urządzone sale operacyjne, zapasy bielizny dla chorych, pościeli, materace i t. d. Chcąc teraz przyprowadzić szpital swój do stanu przedwojennego, musieliby Bonifratrzy krakowscy wydać dziesiątki milionów, na ten cel. a nie posiadają niestety żadnych funduszów. Rząd nasz przyznał wprawdzie Konwentowi 3 miliony marek polskich bonifikacyi za zniszczenie szpitala, odsyłając go z resztą pretensyi do Austryi, znajdu-



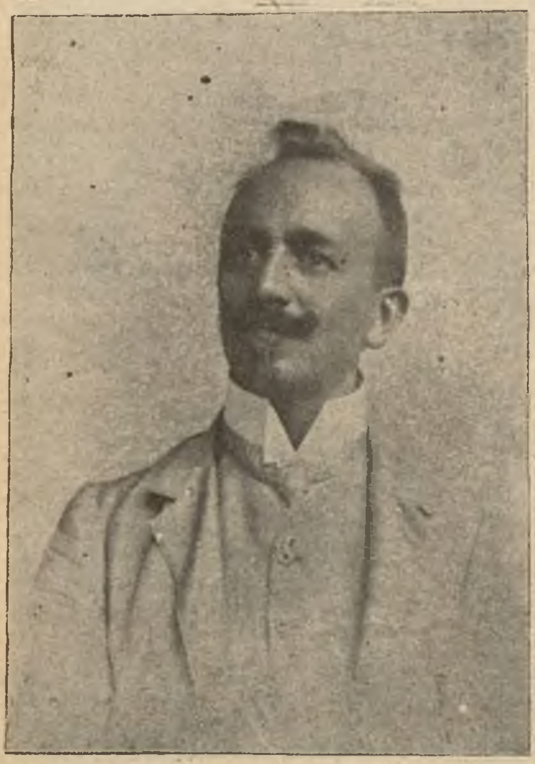
O odbudowę szpitala Braci Miłosierdzia w Krakowie: Obecny Delegat Prowincyi i przeor krakowskiego Konwentu, Br. Jacek Misiak.



Nowa siedziba warszawskiego Towarzystwa literatów i dziennikarzy: Dom w Rynku Starego Miasta „Pod Murzynem" l. 36, nabyty na własność Towarzystwa.

jącej się, jak wiadomo, w stanie zupełnego bankructwa i nie mogącej płacić jakichkolwiek zobowiązań.

Wobec takiego stanu rzeczy nie pozostało nam nic innego, jak zwrócić się z prośbą o pomoc do społeczeństwa całej Polski wogóle, a w szczególności do szlachetnych i miłosiernych mieszkańców podwawelskiego grodu, od trzystu lat będących świadkami naszej działalności charytatywnej.



Nowa siedziba warszawskiego Towarzystwa literatów i dziennikarzy: Franciszek Beytel znany przemysłowiec i filantrop, hojny ofiarodawca na cele Towarzystwa

Wiemy aż nadto dobrze z własnego doświadczenia, że czasy są ciężkie, że zewsząd apeluje się do dobroczynności publicznej i miłosierdzia jednostek, ale mimo to mamy nadzieję, że społeczeństwo powodowane własnem dobrze zrozumiałem interesem, pospieszy nam z pomocą. Szpital nasz bowiem, to nie jakaś instytucya o jednostronnym charakterze dobroczynnym, lecz zakład, który powraca społeczeństwu, po ich wyleczeniu, setki jednostek zdrowych, zdolnych do pracy, a więc pożytecznych.

W imię tedy miłości bliźniego, w imię miłosierdzia chrześcijańskiego, w imię wreszcie użyteczności publicznej, zanosimy gorącą prośbę o pomoc przy odbudowie naszego szpitala, aby mógł być jak najprędzej oddany na usługę chorych.

Niechaj głos nasz dotrze wszędzie, niechaj niczyje serce nie pozostanie obojętnem na naszą prośbę, którą zanosimy nie w imieniu własnem, lecz w imieniu setek nędzarzy, którzy znajdują w naszym szpitalu pomoc w chorobie i opiekę duchowną, niechaj okaże się w pełni staropolska ofiarność i hojność, z jaką zakon nasz spotykał się zawsze".

Łaskawe datki na ten szlachetny cel należy przesyłać wprost pod adresem Konwentu Braci Miłosierdzia w Krakowie, ulica Krakowska l. 48, lub też za pośrednictwem naszego Wydawnictwa, które, robiąc początek składa ku uczczeniu pamięci swego założyciela i redaktora, ś. p. Stanisława Rawicz Lipińskiego, jako w dziesiątą rocznicę Jego śmierci, przypadającą w dniu 27 maja br., kwotę 10.000 marek.

Nowa siedziba warszawskiego Towarzystwa literatów i dziennikarzy.

Warszawska brać literacka i dziennikarska, dzięki skrzętnym zabiegom swego Zarządu i poparciu życzliwych instytucyi i jednostek, przyszła w posiadanie własnego domu, który odtąd stanowić będzie siedzibę jej zrzeszenia, tak skutecznie zabiegającego o los wszystkich, skazanych na zarabianie piórem na kawałek codziennego chleba. Praca to ciężka i wytężająca, bardzo odpowiedzialna, a dla społeczeństwa niezbędna, nic też dziwnego, że spotyka się z uznaniem, na jakie sobie ze wszech miar zasługuje. Tej życzliwości i poparcia ze strony ogółu i jednostek doświadczyło na sobie warszawskie Towarzystwo literatów i dziennikarzy, które, gdyby nie pomoc obca, nie byłoby w stanie dojść do osiągnięcia upragnionego celu, to jest do posiadania własnej swej siedziby. Z tą pomocą pospieszył przedewszystkiem znany przemysłowiec i filantrop warszawski, p. Franciszek Beytel, który na ten cel ofiarował Towarzystwu pierwotnie pożyczkę bezprocentową w kwocie milion marek, a następnie zmienił zamiar i pożyczka stała się darem, powiększając w ten sposób poprzednie świadczenia na rzecz tej instytucyi. Pan Beytel wychodził z założenia, że „dłużnik wesoło bierze ale smutno oddaje", a odnosi się to szczególniej do znanych z przysłowionej golizny literatów i dziennikarzy. Przy pomocy kwoty ofiarowanej przez pana Beytla, jak również obywatelskiej uczynności dyr. St. Mroczkowskiego i wydatnem poparciu przez Bank Handlowy, nabyto na własność Towarzystwa historyczny dom w Rynku Starego Miasta, „Pod Murzynem" l. 36, należący dotąd do p. Moczarowskiej, która również skorzystała ze sposobności, aby humanitarnej instytucyi pójść na rękę, okazując jej przy przeprowadzeniu tranzakcyi daleko idącą życzliwość.

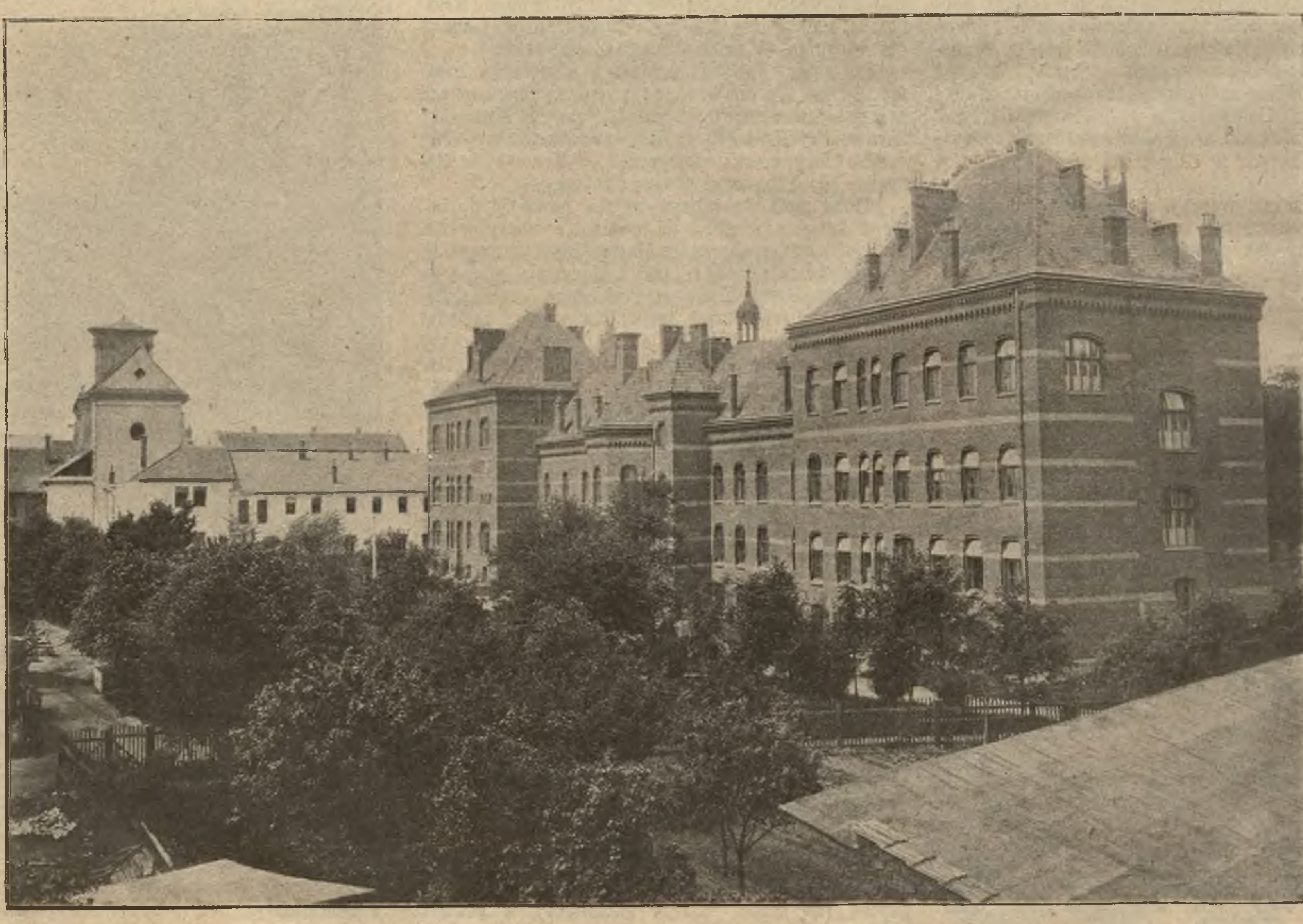
W ten sposób warszawscy literaci i dziennikarze



Z pod znaku Melpomeny: Adam Zajączkowski, dyrektor Teatru na Pradze.

doszli do posiadania własnej siedziby, która zespoli jeszcze silniej, niż dotychczas, jej członków.

To samo jest też marzeniem i krakowskiego Syndykatu dziennikarzy, u nas jednak trudniej będzie znaleźć takiego drugiego pana Beytla, który rozumiałby, jakie obowiązki ma społeczeństwo wobec tak niezbędnej dla niego instytucyi.



O odbudowę szpitala Braci Miłosierdzia w Krakowie: Ogólny widok szpitala Braci Miłosierdzia w Krakowie.

RENE BURES.

Zil=X...

16) Tłómaczyła z francuskiego MARYA SEGENY.

— Ale ten człowiek?

— Cicho!

Domyśliłem się, bo widzieć już było trudno, że ukląkł przy ciele ajenta. Pochylony nad nim badał go, wsłuchiwał się w bicie serca. W końcu powstał i rzekł zmienionym głosem.

— Nie żyje! Zresztą widziałem kierunek kuli. Wpadła prosto w oko.

Ciężkie milczenie otoczyło nas.

— Co robimy teraz? — zapytałem w końcu siłą otrząsając się z wrażenia.

— Jedziemy dalej!

— Ale ten nieszczęśliwy...

— To trup już tylko. Nie mogę mu już nic więcej uczynić.

Strzały w ciemności umilkły. Nie widać już nawet było błysku małej latarki strażnika baryery.

— Uciekajmy — szepnął Dalton. — Będziemy ich tu mieć za chwilę na karku.

Szofer natychmiast puścił w ruch maszynę. Dalton ostrożnie przeciągnął zwłoki numeru 53 na brzeg drogi. Wskoczyłem do auta, po chwili Dalton był przy mnie. Automobil ruszył całym pędem.

Przez kilkanaście minut mknęliśmy w milczeniu otoczeni coraz gęściejszą nocą. W końcu uczułem, że skręcamy na prawo, maszyna zwalniać zaczęła, i po chwili stanęła.

Dalton wyskoczył ja zaś wychylony przez drzwiczki nadsłuchiwałem.

Żaden odgłos nie dochodził do nas. Tylko przed nami w znacznej jeszcze odległości szedł pomruk grzmotu. Szła ku nam burza, jedna z tych nagłych, gwałtownych burz letnich, która nas mogła zagarnąć za minut parę.

Za nami jednak cisza, ani światełka, ani odgłosu żadnego.

— Zaświeć! — rozkazał Dalton szoferowi — i jedźmy dalej. Tylko prędko!

Szofer zaświecił elektryczne lampy. Olbrzymie promienie białego światła zalały pola przed nami ciągnąc się aż ku horyzontowi.

Droga te była cięższa od tej, którą przebyliśmy dotąd.

Duże, ciepłe krople deszczu spadać zaczęły.

Usiadłem obok starego Dambleuse, który pozostał spokojny i zimny pośród tych wydarzeń i jechaliśmy dalej, coraz szybszym biegiem, po jasno oświetlonej drodze.

Teraz już deszcz lał całemi strugami. Burza przechodziła tuż ponad naszemi głowami. Pioruny biły raz po raz wokoło nas.

Automobil pruł z wściekłością olbrzymie kałuże wody zagradzając drogę, podskakując niekiedy na nierównościach gruntu.

— Śliczny czas na złodziejską wyprawę — wyrzekł Dalon, potrząsając głową.

— Czy prędko będziemy na miejscu? — zapytał stary Dambleuse.

— Zdaje się, że już przybywamy.

Maszyna zwalniała.

Skręciła teraz na waską drogę wysadzoną z obydwu stron drzewami.

Przy blasku jasnej błyskawicy dojrzałem rzeczkę płynącą wzdłuż drogi, a na przeciwległym brzegu wieżę kościoła odrzynającego się na ciemnem tle nieba.

Automobil zatrzymał się.

Szofer zagasił latarnie i znowu ciemność otoczyła nas, przerzynana tylko od czasu do czasu ostrym blaskiem błyskawic.

— Wstrętne błyskawice! — syknął przez zęby Dalton. Co kilkanaście minut robi się jasno jak w dzień. Ha! co robić! Cofać się już nie możemy. Czyście gotowi?

— Rozkazuj! — odpowiedziałem.

— A więc posłuchaj. Zaczekamy tu parę minut, aby się przekonać czy przyjazd nasz nie był zauważony. Pawilon, zamieszkany przez kapitana, znajduje się, jak sobie pewnie przypominasz, w głębi ogrodu, odosobniony. Ale ogród ten, jest otoczony innymi ogrodami i willami, zamieszkałymi przez mieszkańców Boy. Ale co najważniejsze — pomiędzy tymi mieszkańcami znajdują się może przyjaciele kapitana de Limandoux.

— A więc to Boy, to zbiorowisko domów, które widać po tamtej stronie rzeki?

— Tak. Znajdujemy się od nich w odległości sześciu lub ośmiuset metrów. Z tej strony nie potrzebujemy się obawiać.

— Masz jaki plan działania?

— Nie.

— A więc.

— Trzeba przedewszystkiem przedostać się przez ten mur, co będzie dosyć łatwem, a potem działać będziemy stosownie do okoliczności.

— Jedziemy?

— Poczekaj jeszcze chwilę. Numer 42! Masz narzędzia potrzebne?

— Oto są, panie Dalton — odpowiedział ajent, wyciągając z pod ławeczki przedmiot w którym rozpoznałem pałasz i olbrzymie rękawice, misternie odrutowane.

— Boże Wielki! — krzyknął stary Dambleuse, wstrząsając się. Cóż to jest!?

— To na psa — odparł Dalton.

— Na psa?

— Willa jest strzeżona, tak, jak za życia kapitana, przez ogrodnika i jego żonę, którzy mieszkają na parterze z dwojgiem dzieci. Ale ci ludzie mają psa dla obrony. Jak słyszałem ten pies nie jest wcale łagodnym.

— Zamierza go pan zabić tym przyrządem? — zapytał Dambleuse.

— Muszę niestety tak uczynić.

— A jak szczekać będzie?

Szczekać będzie z pewnością. Lecz jest to jeszcze mniej niebezpieczne niż wystrzał rewolwerowy, któryby zbudził czujność całego sąsiedztwa.

— Zauważ tylko wybór mojej broni — zaśmiał się z pewną przechwałką mój przyjaciel. — Wybrałem stary pałasz, który bez żadnego niebezpieczeństwa pozostawić możemy na miejscu, w razie nagłej ucieczki.

— Cóż zatem mam robić? — zapytałem.

— Iść za mną i być posłusznym moim wskazówkom.

— A ja! — zapytał Dambleuse.

— Pan zaś — odrzekł Dalton pozostanie tutaj i czekać na nas będzie.

— Nigdy! — zawołał stary doktór prostując się groźnie.

— Co pan mówi! — rzucił spokojnie Dalton.

— Mówię, że chyba nie po to mnie tu pan przywiózł, abym siedział bezczynnie w automobilu. Na to się nie zgodzę.

— Nie mam czasu ani ochoty na rozmowy kochany panie — uśmiechnął się ironicznie Dalton. — Przyzna pan, że i chwila nie bardzo stosowna do tego. Pozostawiając pana tutaj, mam w tem swój cel, a zresztą pan nie jest wstanie towarzyszyć nam.

— Dlaczego?

— Do takiej wyprawy potrzebne są siły.

— Mam je!

— Będziemy przeskakiwać mury!

— Będę je przeskakiwał przy pomocy panów!

— Będzie pan musiał biedz razem z nami w razie potrzeby.

— Będę biegł, jeżeli to będzie koniecznem.

— Może pan nam nie nadążyć, zagubić się.

— Jeżeli panowie uznacie za potrzebne, to możecie mnie zostawić na drodze. Proszę się nie lękać. Umię milczeć i panów nie zdradzę.

— Niechże więc tak będzie, jak pan chce! zgodził się Dalton. Ale teraz w drogę! bo czas!

Mówiąc to — wyciągnął z auta płaszcze nieprzemakalne i rękawice gumowe, które nam kazał nałożyć.

— No jesteśmy gotowi. Policya może szukać naszych śladów.

— Te płaszcze i rękawice uchronią nas pozatem przed wilgocią — odezwał się stary Dambleuse.

— A więc naprzód! Masz sznury! — zawołał Dalton — zwracając się do ajenta.

— Tak, panie Dalton — odpowiedział numer 42.

Wysunęliśmy się jeden za drugim, Dalton na czele pochodu, numer 42 na końcu.

Szliśmy powoli ścieżką rozmiękłą od deszczu, pełną wybojów i kałuż, chluszczących pod naszemi stopami. Ktoś w pewnej chwili zamruczał z niezadowoleniem.

— Cicho tam — szepnął rozkazująco Dalton. Ścieżka biegła zwężając się coraz więcej. Spostrzegłem wkrótce, że po lewej mojej stronie ciągnął się mur wysoki.

Dalton szedł teraz wzdłuż tego muru. My za nim starając się czynić jak najmniej szmeru. Nagle Dalton zatrzymał się.

— Zbliżcie się wszyscy do mnie — szepnął. Obstąpiliśmy go wszyscy wokoło.

— Słuchajcie — mówił dalej Dalton. — Tu w tem miejscu znajduje się furtka prowadząca do tylnej części ogrodu. Brama główna znajduje się naprzeciwko, pawilon zaś stoi w równej prawej odległości od tych obydwu wejść, bliżej jednak trochę tej furtki. Ty, numer 42 wdrapiesz się na ten mur i siedzieć tam będziesz spokojnie. My zaś, okrążymy ten mur aż do pierwszego załamania i także czekać będziemy.

Wówczas ty, numer 42 zadzwonisz, to jest pociągniesz tym łańcuszkiem, do którego z tamtej strony przytwierdzony jest dzwonek. To będzie wystarczające przypuszczam, aby obudzić czujność psa, który znajduje się w ogrodzie. Gdy nadbiegnie staraj się go zabić jak najszybciej. Dziwię się, że nie wyczuł nas dotąd. Przedewszystkiem bądź ostrożnym. Ta cisza niepokoi mnie trochę. Spodziewam się zupełnie czegoś innego. Co do nas, jak tylko tylko usłyszymy dźwięk dzwonka, przeskoczymy przez mur do parku i działać będziemy stosownie do okoliczności. Zrozumiane?

— Zrozumiane! — odpowiedzieliśmy jednocześnie.

Wówczas Dalton odparł się silnie o drewnianą furtkę nadstawiając plecy numerowi 42, który z łatwością wdrapał się po nich na brzeg muru. W ciemnej nocy, sylwetka jego odcinała się czas jakiś ciemniejszą plamą — w końcu zginęła mi z oczu.

Dalton nadsłuchiwał.

— Chodźmy! — szepnął po chwili.

Zaczęliśmy iść ostrożnie w zdłuż muru. Żaden szmer nie mącił ciszy. Szelest kroków naszych ginął w miękkiej wysokiej trawie. Doszliśmy tak do jednego końca ogrodu, gdzie mur załamywał się nagle. Ujrzeliśmy pole zasadzone drzewami, a dalej ciemną jakąś masę, domek i niewielki lasek.

Teraz musieliśmy przebyć rów pełen wody. Deszcz padał ciągle. Pomimo nieprzemakalnego płaszcza dreszcze mną wstrząsały. Pomyślałem z litością o tym biednym starcu, który upierał się nam towarzyszyć i narażać się na różne niebezpieczeństwa tej nocnej, niepewnej wyprawy.

Dalton wkrótce zatrzymał się znowu.

— Nadsłuchujmy — rzekł.

— Nadsłuchiwaliśmy wszyscy, przejęci ważnością chwili. Minęła minuta, dwie, pięć może...

— To trwa za długo — oświadczył Dalton.

— Nie słyszeliśmy może.

— Ale musielibyśmy usłyszeć psa.

W tej samej chwili ciemny jakiś przedmiot presunął się koło mojej twarzy i uderzył prosto w twarz Daltona.

Z piersi jego wydarł się jęk stłumiony.

— Jesteś ranny? — szepnąłem chwytając go za ramię.

— Cicho bądź! Padnijcie wszyscy na ziemię! — odpowiedział. — Cios ten mnie tylko ogłuszył.

— Ale nie jesteś ranny?

— Eh! to drobiazg. Ale czemże ja u djabła ugodzony zostałem! Kamieniem może!

Pochylił się i wkrótce namacał rękami przedmiot.

— To cegła! A to coś ciekawego! Któż to bawi się w rzucanie cegieł w tej godzinie i tem miejscu.

Odgłos drugiego upadającego na trawę ciężkiego przedmiotu wyjaśnił zagadkę.

— Ah! do krocset — zaśmiał się Dalton. — Numer 42 daje znać o sobie. Poczciwy chłopak! Nie bardzo szczęśliwą ma rękę. Tem gorzej dla niego, jeżeli i moja ręka nie będzie lżejsza.

— Czy jesteś pewnym, że się nie mylisz? — zapytałem.

— Musimy przecież coś zaryzykować i postawić na ostatnią stawkę.

Wziął cegłę i przerzucił przez mur.

Cichy gwizd odpowiedział mam z tamtej strony.

— Doskonale — szepnął Dalton. — Możemy przejść.

— A pies?

— Pies musiał zostać zabity bez hałasu — lub też nie nie był wypuszczony do parku. Nie lubię jednak tych ułatwień nadzwyczajnych, które nam podaje. No dalej przechodźmy przez mur.

Podstawiłem plecy, aby Dalton skoczył pierwszy. On jednakże w ostatniej chwili jeszcze zwrócił się do starego Dambleuse i rzekł przekowującym głosem:

— Panie Dambleuse, jeszcze czas! Niech pan porzuci myśl towarzyszenia nam!

— Mam pana obietnicę — odparł sucho stary Dambleuse.

(Ciąg dalszy nastąpi).

LEON GOZLAN.

Historya o stu trzydziestu kobietach

7)

Mulat coraz bardziej ściskał stryczek, nie chcąc jednak zupełnie udusić swoją ofiarę. Za krótkie byłoby konanie.

— Nie! — mówił dalej sir Grant, którego usta zsiniały i pokryły się pianą — nie, nikt nie ma prawa zabijać mnie... jestem oficerem marynarki królewskiej... Wy króla obrażacie tym postępkiem... Jeżelim jest występny, oddajcie mnie pod sąd... ale wy nie macie nawet prawa mnie sądzić... Sama tylko admiralicya... i... zresztą... przecinacie mi skórę... oh, ten powróz wpija się w ciało moje... ależ kapitanie Forster, mój dobry kapitanie Forster... i ty milady i wy wszystkie... wszakżeście kobietami... nie dozwólcież mnie tak mordować, wszak macie dobre serca... każcie zdjąć ten stryczek z mojej szyi... ten człowiek jest nędzarzem... a ja mogę was wszystkie wzbogacić... posiadam majątek w Anglii... wielki majątek... to wszystko będzie do was należeć... bierzcie wszystko... ale nie dajcie mi umierać... ja nie chcę umierać... duszę się... duszę...

Majtkowie Niagary nie posiadali się z radości, klaskając głośno w dłonie; mulat rozkazał (bo każdy rozkazywał już wówczas), żeby spuszczono jeden koniec drąga żaglowego, przyczepionego do tylnego masztu. Sir Grant pojął to odrazu, że to są przygotowania do jego śmierci.

Osada pojęła to także, widocznem to było po jej oklaskach i wykrzykach radosnych. Wykrzyki te można było tłómaczyć temi słowy: Będziemy obecni powieszeniu człowieka, naczelnika, oficera, będą go windować w powietrze, jak worek z piaskiem. I jakżeż tu nie cieszyć się, nie klaskać radośnie. Ależ sir Grant? Sir Grant był na prawdziwych torturach, krew uderzyła mu na serce, na mózg i poczerwieniał jak szkarłat. Ten napływ krwi do głowy odjął mu resztę przytomności, zachwianej już przerażeniem, a z ust jego poczęły się wymykać szalone, niesktadne i wściekłe słowa.

— Milady! — zawołał i oczy występowały mu na wierzch głowy — Milady! to podłość, to zbrodnia, ty nic nie mówisz, pozwalasz mnie mordować, nie przecinasz tego sznura, który mnie dusi, a ty mnie kochałaś przecie... tak! byłaś moją kochanką... należałaś do mnie... i pozwalasz mordować człowieka, którego byłaś kochanką... nie błagasz ich za mną... ale błagajże ich, ofiaruj im pieniądze, klejnoty twoje, żeby mi darowali życie... Milady, ocal-że mnie... ocal!...

Kapitan Forster spuścił ze wstydu głowę, a lady Forster spojrzała z gorzką litością na tchórza, którego podłość tak nikczemnie na jaw wychodziła.

Osada przestała się śmiać i krzyki pogardy ze wszystkich stron dały się słyszeć.

A Thompson zanotował na swoim protokóle: sir Grant... kapitan Forster... pani Forster... cudzołóstwo... trzecia godzina po północy.

Tymczasem kilku majtków dopełniło rozkaz mulata.

Koniec drąga żaglowego spuścił się powoli aż do wysokości rąk Samuela i ten ostatni koniec swojego stryczka przewlekł przez blok ruchomy, znajdujący się na drągu, rozkazał potem podnieść drąg żaglowy napowrót i teraz za jednem tylko pociągnięciem stryczka wszystko już dla sir Granta musiało być skończone.

Skoro tylko pierwszy porucznik ujrzał te przygotowania, krew mu rzuciła się ustami, nosem, uszami i nawet krople tej krwi zaczynały wychodzić z pod powiek. Przestał już mówić, ale jęcząc i stękając, odjął ręce od szyi, bo już mu brakło siły do dłuższego oddziaływania przeciwko stryczkowi i stojąc, nogi założył jednę na drugą, jakby się chciał przymocowywać do tej ziemi, której wkrótce miało mu już zabraknąć pod nogami.

Było to dla zbuntowanych nader miłem widowiskiem.

— Chcemy wszyscy to widzieć! — wołali jedni.

— My nie widzimy dobrze! — krzyczeli drudzy.

— Dajcie-że nam widzieć!

— Mamy przecie prawo widzieć także!

I te słowa dawały się tylko słyszeć:

— Widzieć! widzieć! widzieć!

Ale wkrótce zaczęto znów krzyczeć:

— Nie wieszajcie go jeszcze!

— Owszem, wieszajcie, wieszajcie!

— Tak, bo wy tam widzicie doskonale, a my tu nic widzieć nie możemy.

— Ależ my nie widzimy lepiej od was.

Widocznem było, że od kwadransa rola pośrednika, jaką Carter przybrał był na siebie, nie mogła już istnieć. Został on zmuszony do ustąpienia i ta ława ludzi unosiła go z sobą. Nie miał już żadnej władzy nad tym tłumem rozkiełznanym, pijanym wszystkiemi namiętnościami zemsty. Jednakowoż uszanowanie, jakie miał dla swojego godnego kapitana, nie wygasło w nim jeszcze, zbliżył się więc do niego i rzekł:

— Kapitanie, zejdź do twojego pokoju razem z milady i oficerami... będę was tam bronić, dopóki mi sił starczy... ale schodź kapitanie, chodźże... wkrótce może będzie już zapóźno.

— A więc wszyscy jesteśmy tu więźniami — rzekła pani Forster, drąc zębami w kawałki swoje białe glansowane rękawiczki, które zachowała jeszcze na ręku.

— Pani nie jesteś w więzieniu, ale na rusztowaniu — rzekł Carter, mierząc wzrokiem lady Forster, która nie zbladła wcale — słuchaj pani mojej rady, zejdź na dół.

— Błagam panią, zrób to — rzekł kapitan do swojej żony.

Pani Forster stała nieporuszona na miejscu.

— Milady bądź mi posłuszną — powtórzył drugi raz sir Forster — odejdź, nie możesz przecie być świadkiem...

— Nie panie, — odrzekła — nie będę posłuszną i zostanę tutaj.

— W takim razie za nic już nie odpowiadam — rzekł Carter, który od tej chwili postanowił obwinionych zostawić własnemu ich losowi.

— Zaczynajcie! — wołali majtkowie, których cała ta rozmowa coraz więcej niecierpliwiła — zacznijcie już raz przecie...

— Na cóż czekacie?

— Na co u licha?

— Sir Grant na szubienicę!

— W górę z nim, w górę.

— Trzech mężczyzn i trzy kobiety dobrej woli! — zawołał mulat Samuel — to będzie jakoś składniej.

Żądał tylko trzech mężczyzn, a sześciu wyszło, żądał tylko trzech kobiet, a dwanaście ich wybiegło i porwały za stryczek.

— Trzymacie już? — zawołał mulat, który podtrzymywał ciało nieszczęśliwego Granta, martwe już prawie i leżące jak worek na pomoście.

Kapitan Forster zakrył oczy rękoma. Lady Forster na krok się nawet nie odsunęła.

Thompson notował tymczasem na swym protokóle:

— Wieszają pierwszego porucznika, godzina trzy i pół po północy — powietrze spokojne, osada w jak najlepszym stanie zdrowia.

— Pociągnijcie teraz! — zawołał mulat.

I ośmnastu katów pociągnęło stryczek w górę. Ciało sir Granta zawisnęło w powietrzu.

Dwieście pochodni podniosło się w górę, żeby oświecić ten widok.

Usłyszano trzask kości pacierzowej pierwszego porucznika, łamiącej się na dwoje.

Krzyki i brawa rozległy się wokoło.

— Milczenie! — zawołał mulat.

Chciał widać mówić, uciszono się zatem.

— Ostrzegam was — rzekł — żeby uniknąć wszelkich sprzeczek, że podług praw angielskich do mnie jako do kata sir Granta, należą jego buty i chusta na szyję.

— Słusznie, słusznie, słusznie! — zawołał tłum cały, zawsze tak bezinteresowny i tak sprawiedliwy podczas swoich paroksyzmów wściekłości.

Dotychczas mężczyźni tylko grali główną rolę; teraz kobiety miały na scenę wystąpić.

Irlandczyk Preston, wziąwszy Karolinę Prior pod rękę, rozpychając przed sobą tłum, przeszedł pomost i wszedł na galeryę, gdzie lady Forster stała ciągle pomimo próśb Cartera, męża i melancholicznego widowiska, tak bowiem Anglicy powieszenie nazywają.

Karolina Prior było to stworzenie młode i piękne, z oczami niebieskiemi jak błękit nieba, z rysami twarzy rzadkiej delikatności, z ustami podobnemi do dwóch liści róży bengalskiej nawpół złożonych. Usta jej uśmiechały się, choć chmura trosk zasępiła czoło i trudno byłoby odgadnąć, skąd się wziął ten uśmiech, bo Karolina Prior nigdy nie zaznała uciech tego świata. W szesnastym roku — nie miała bowiem więcej nad szesnaście i pół lat — została skazaną na deportacyę do Australii, na obracanie dniem i nocą, o tysiąc mil od swojej wsi rodzinnej, żelaznego koła młynu. Biedne dziewczę, tak mizerne, tak wątłe, tak słabowite.

W tem miejscu majster Gandolf, przerwawszy na chwilę opowiadanie, otarł rękawem grubego swojego spencera łzę, która mu oko zwilżyła.

— Nigdy nie byłem ojcem — mówił dalej — ale gdyby Bóg mi tego szczęścia dozwolił, to taką tylko życzyłbym sobie mieć córkę. Jak to słodko ściskać w objęciu takie stworzenie, przytulać ją jak błogosławieństwo jakie do serca, do ust, czuć jej włosy, wznoszące się pod twoim oddechem i pokryć calutefiką jej twarz świeżutką jednem serdecznem, wielkiem pocałowaniem, któreby aż do duszy głośno się rozległo. A potem pocałowawszy i odcałowawszy ją raz jeszcze, że to aż łzy staną w oczach, powiedzieć jej patrząc na nią, w oczy: „Czy cię nie za mocno ścisnąłem? moje dziecko..." A do stu czartów, wolałbym to, niż cały kieliszek rumu.

— No, no majstrze Gandolf, nie rozczulaj się tak bardzo, bo od tego strasznie łatwo kataru dostać można.

— Skończona rzecz, już nie płaczę, zamknąłem kurek od rurki łzowej.

— No tak, to co innego.

— Przedstawiając tedy Karolinę Prior pani Forster, Preston te do niej rzekł słowa: Pani... Ale muszę wam jeszcze przedtem powiedzieć — przerwał sobie majster Gandolf — że, gdy Carter ujrzał Karolinę Prior i Prestona, idących z sobą pod rękę, wstrząsł się cały i mimowolnem nerwowem poruszeniem podniósł w górę topór, jakby chciał jednem uderzeniem tej broni zabójczej rozdzielić ich z sobą, jak rozcina się węzeł, którego inaczej rozwiązać nie można. Jego oczy zamknęły się i rozwarły na nowo, nozdrza wydęły się, a wszystkie muszkuły na twarzy nabrzękły straszliwie. Jednak wstrzymał się; Ascott patrzał na niego, Ascott, który był w tem samem położeniu z mulatem Samuelem, z tą tylko różnicą, że to on dotychczas prowadził Prozerpinę. Ale cierpliwości. Ileż to burz miało się zwalić na tę biedną Niagarę. A teraz powrócimy do Prestona. Rzekł on tedy do pani Forster: Pani rozkazałaś, nie wiem z jakiego powodu, chociaż teraz pojmuję, odkąd słyszałem wyznanie kochanka pani, wyliczyć dwadzieścia plag temu biednemu dziecku. Ja byłem naznaczonym do spełnienia tej egzekucyi, a ponieważ odmówiłem mojego współdziałania, wycierpiałem karę na miejscu Karoliny Prior i słusznie: bo takie prawo nasze. Więc odebrałem dwadzieścia plag owych. Ale czekałem na chwilę zemsty i chwila owa pojawiła się prędzej, niżlim się mógł tego spodziewać. Teraz za całą zemstę żądam, żebyś pani przeprosiła Karolinę Prior.

— Lady Forster ma przepraszać tę żebraczkę, tę dzieciobójczynię, tę deportowaną. Jesteś pan jeszcze więcej ucieszny niż bezczelny — rzekła żona kapitana, uśmiechając się pogardliwie.

— Przeprosisz pani Karolinę Prior — rzekł Preston, popychając tę ostatnią przed lady Forster.

— Tak, przeprosi, musi przeprosić!

Ten krzyk przebiegł od jednego końca okrętu do drugiego, grożąc pani Forster, jak grzmot nadchodzącej burzy.

— Nigdy — odpowiedziała ona głosem tak pewnym i zdecydowanym, że widocznem było, iż nigdy tego dobrowolnie nie uczyni.

— Przeprosisz ją na kolanach! — zawołała Prozerpina, przybiegając do niej i położyła swoje dwie silne ręce na jej ramionach tak, że ją zmusiła do przyklęknięcia. Pani Forster uległa przemocy, ale upadając, odwróciła głowę, żeby zobaczyć, kto jej ośmielił się ten gwałt zadać. Krzyknęła ze zgrozą, widząc nad sobą twarz Prozerpiny. „To kobieta!" — zawołała z goryczą. Te dwie twarze piękne były obiedwie. Ale piękność Prozerpiny, świetna i okazała jak bogini jakiej, jak Junony, przyćmiła swoim blaskiem piękność lady Forster, delikatną i dystyngowaną tylko. „To tylko kobieta" — powtórzyła z boleścią to ostatnie, jakby to nową hańbę dodawało do jej porażki. „Tak, to jest kobieta" — odpowiedziała jej Prozerpina — „mniej jeszcze niż kobieta, deportowana, jak Karolina Prior, jak 129 innych, które znajdują się tu z nami razem, deportowana, która ma numer zamiast nazwiska, której bielizna ostra i szorstka, podczas kiedy twoja, szlachetna pani, miękka i miła jak jedwab; deportowana, która nosi suknię z szarego płótna, tak, z płótna szarego i ordynarnego, podczas kiedy ty w najdelikatniejsze kaszmiry się stroisz. To więc suknia oznacza poczciwość i cnotę? tak, suknia tylko. Ty pani jesteś poczciwa i cnotliwa, nieprawdaż?

(C. d. n.)

JADWIGA MIGOWA.

PANTERKA

(Powieść współczesna).

– Głupia nie głupia, bo to teraz grube pieniądze kosztuje!... ale nie o to mi chodzi, tylko kto ten koniak wypił?! bo przecież nie ty sama!...

– E! nie zawracał mi głowy!

– Kogo ty przyjmujesz, kiedy mnie niema!...

– Nudzisz mnie!...

– Nudzę!... nudzę!... ale przedtem toś inaczej śpiewała!... ja nie pozwolę „strugać" ze siebie waryata... Za co ty mnie właściwie masz ?!...

– Za durnia!... – wypaliła bez namysłu.

Bąbel zgrzytnął zębami, hamował jednak jeszcze gniew.

– Słuchaj!... Stefa!... ty mnie tak nie drażń, jak psa!... Moja żona nigdyby się nie ośmieliła tak mnie *dyfamować!*..,

– A to sobie wróć do żony!... czy ja cię to trzymam? – odrzuciła z taką pewnością siebie, jakby mówiła o rzeczy zgoła nieprawdopodobnej.

– Aha!... wróć!... dobrze ci teraz mówić!...

– Proszę pana, śniadanie na stole! – krzyknęła Marcysia przez drzwi.

– To doskonale!... bom głodny jak wilk!... Chodź, Stefciu, zjemy razem!...

– Jedz sam.

– No, chodźże, nie *kaprysuj się*...

– Nie chcę!... Daj mi święty spokój!...

– A niech to wszyscy dyabli!... – zaklął i zamknął drzwi za sobą z trzaskiem.

Stefa wykrzywiła wargi pogardliwym grymasem:

– Uuuu! – ziewnęła i podłożywszy obie ręce pod głowę, przeciągała się leniwie.

– Nuudy!... psiakrew nudy!...

Podeszła do okna i bezmyślnie spoglądała na ulicę, skąpaną w promieniach przedwiosennego słońca... Oczy jej miały w tej chwili wyraz beznadziejnie tępy...

Nagle drgnęła, ożywiła się – źrenice zamigotały zielonymi, fosforycznymi ognikami, jak zawsze u Stefy w momentach wzruszenia. Wśród przechodniów dojrzała smukłą postać męską, stąpającą pewnie a elastycznie... Ciemny kapelusz o lekko wywiniętych brzegach ocieniał twarz o nieskazitelnym profilu...

Wyciągnęła ręce w porywie rozbudzonego pożądania:

– Rom!... Rom!... jedyny!... najpiękniejszy!... jak ja go już dawno nie widziałam!...

— Stefa!... Stefciu!... – Bąbel wsunął się niepostrzeżenie do pokoju i przystanąwszy z tyłu za Stefą, dotykał wargami, na których pozostały okruszki szynki i smak piwa, obnażonej szyi. Niższy od Stefy, wyciągał śmiesznie głowę. Odskoczyła, zapominając o wszelkiej przezorności, przejęta nadmiernym wstrętem.

– Odczep się!...

ROZDZIAŁ XVI.

– A co, ładne? nieprawdaż?... dystyngowane!... renesansowe!...

Terenia Woźniewiczówna parsknęła krótkim, przyciszonym śmiechem, jak to się już nieraz zdarzało przy rozmaitych „dystyngowanych" i „inteligentnych" powiedzeniach przyszłej bratowej. I teraz, gdy Kazia batystowy szlafroczek, bardzo zresztą ładnie kolorowymi jedwabiami wyhaftowany – nazwała ni stąd ni zowąd „renesansowym", 15-letnia, zamiłowana historyczka nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

Kazia przygryzła wargi, a Woźniewiczowa zgromiła spojrzeniem Terenię, która, wpakowawszy sobie pół piąstki w usta, usiłowała stłumić wesołość, chociaż swywolne iskierki migotały w jej bystrych, bławatkowych ślepkach.

– Bardzo ładne – odparła matka Juliana, oglądając szlafroczek – czy jednak ta twoja wyprawa, moje dziecko, nie jest trochę niepraktyczna? Może za dużo luksusowych rzeczy, których przy skromnych warunkach bytu nawet nie będziesz miała sposobności użyć, a za mało koniecznych, niezbędnych?

Kazia, nie znosząca krytyki i oporu, zmarszczyła niechtnie brwi.

– Wszystko się zrobi – mruknęła, składając troskliwie stroik z batystu i koronek – przedewszystkiem estetyka i *intellektualizm!*...

– Terenia zerwała się i wybiegła z pokoju, aby się nie roześmiać znowu. Woźniewiczowa wzruszyła lekko ramionami. Przywykła już do górnolotnych, najniestosowniej przypinanych określeń narzeczonej Julka i chociaż nie przestawało to razić jej, kobiety wykształconej i prawdziwie inteligentnej, nie chciała zwracać uwagi, wiedząc, że nie przyda się to na nic, a wywoła tylko niemiłe rozdźwięki. Wogóle pomiędzy starą Woźniewiczową a Kazią panował stosunek obojętny, ale poprawny – daleki od szczerości i serdecznej przyjaźni, ale wolny także od kłótni i zatargów, głównie dzięki taktowi i delikatności matki Juliana, która, przekonawszy się, że syn dał się „złapać" i nie potrafi się wycofać – zrezygnowała ze wszelkich, właściwych najlepszym nawet matkom, machinacyach w takich sytuacyach. Przyszła synowa pod żadnym względem nie odpowiadała ideałowi żony, jaki sobie wymarzyła dla jedynaka, ale życie twarde, pełne cichych a ciężkich walk i bolesnych rozczarowań, nauczyło Woźniewiczową, że marzenia prawie nigdy nie spełniajy się, zwłaszcza ludziom, nie umiejącym łokciami i pięściami torować sobie nowych dróg... Zrezygnowała też z dawnych ambitnych wojen, jakie snuła, myśląc o przyszłości syna... Zrozumiała, że on jest za skromny, za słaby, za cichy... Pozostanie zawsze pracownikiem pożytecznym ale niedocenionym, szarym, jednym z wielu... A więc i żona jego nie może być, nie będzie księżniczką z bajki... Byleby to tylko była jakaś uczciwa, dobra i delikatna kobieta, któraby biednemu Julkowi nie zatruła życia...

Co prawda, Woźniewiczowa miewała nieraz pewne wątpliwości co do dobroci i łagodnego usposobienia Kazi... W symfonii karmelkowej słodyczy pochwytywała nuty zgryźliwości i złośliwego egoizmu. Ogarniał ją wówczas lęk, ale nie mogła sformułować żadnego pozytywnego zarzutu, bo Kazia zachowywała się wobec Juliana i jego rodziny z taką uprzedzającą i nadskakującą grzecznością, że raczej nadmiar ckliwego pochlebstwa mógł razić i drażnić.

Kilkakrotnie interpelowała Woźniewiczową o jej hrabiowski tytuł panieński. Upajała ją myśl, że będzie synową prawdziwej hrabianki.

– Mamciu – zapytała pewnego razu – czy mąż mamci, ojciec Julka, był także z arystokratycznej rodziny?

– O! nie... pochodził z mieszczańskiej rodziny, bardzo zacnej... Wyszłam za niego wbrew woli rodziny, która poza tem mało troszczyła się o mnie... Byłam sierotą i nie miałam posagu... Ale dlaczego o to pytasz?...

– Tak sobie... Julek to zupełnie podobny do mamci, tak subtelny, dystyngowany – intellektualny...

Woźniewiczowa uśmiechnęła się:

– Dziękuję ci za komplementy – wyrzekła żartobliwie – muszę ci jednak zwrócić uwagę, że mąż mój nie był także ani gruboskórny, ani źle wychowany...

– Ach! naturalnie... naturalnie!... ja wiem, że to był człowiek wysoce kulturalny i indywidualny... tylko ja tak myślę, że Julek miałby właściwie prawo nazywać się hrabią...

– Cóżby mu z tego przyszło?... Ośmieszyłby się tylko.

Kazia westchnęła cichutko i nic nie odpowiedziała. Powzięła jednak mocne postanowienie, że po ślubie sprawę tę załatwi.

Terenia wyraźnie nie lubiła narzeczonej brata, a w swej szczerości, napół dziecięcej jeszcze, nie umiała dobrze maskować swej niechęci. Matka gromiła ją za to:

– Tereniu – upominała – nie jesteś dosyć uprzejma dla Kazi...

Dziewczynka wydymała usteczka:

– Bo ja jej nie lubię mamusiu...

– Choćbyś jej nawet nie lubiła – nie wypada tego okazywać... A zresztą dlaczego jej nie lubisz...

– Ona taka śmieszna, nadęta, sztuczna... Tak mówi nieraz nie do rzeczy i tak się jakoś czasem niedobrze popatrzy... Ja wcale nie jestem zadowolona, że Julek ma się z nią żenić... On to ma też gust: naprzód ta „panterka", a teraz ta subtelno-indywidualno-renesansowa – komicznie naśladowała przesadny sposób mówienia Kazi.

Matka z trudem powstrzymywała uśmiech, ale rzekła surowym tonem:

– Proszę cię, abyś na przyszłość powstrzymała się od tego rodzaju uwag, a przedewszystkiem, żebyś nie zestawiała narzeczonej Julka z tą jakąś „panterką".

„Panterka" była właściwie najsilniejszym atutem Kazi u Woźniewiczowej. Ilekroć bowiem ta pomyślała sobie, że syn mógłby wprowadzić pod swój dach jako żonę – taką Łączkównę – Kazia ze wszystkiemi wadami i śmiesznostkami urastała niemal do wyżyn ideału. Każda inna, choćby najbiedniejsza, najbrzydsza – byle tylko nie tamta – byle tylko nie „panterka"... I dziwna rzecz, matce Juliana zdawało się ciągle, że cień Stefy majaczy – groźny, drapieżny i lada chwila panterka chwyci swą ofiarę w ostre szpony, z których ją chwilowo wypuściła... Niepokoiły ją częste, tępe zamyślenia syna, kiedy wzrok Julka stawał się błędny jakiś i szedł poza ściany cichego mieszkania poprzez siwą głowę matki i białą twarz Kazi. Niekiedy Julek zamykał się w swoim pokoju i nie chciał się z nikim widzieć. Pewnego dnia, gdy przyszedł na obiad z biura, Terenia powitała go okrzykiem:

– Wiesz? była Stefa u nas!...

Anemiczna cera młodzieńca zabarwiła się falą krwi, kolorując rubinowo nawet czoło, skronie i uszy...

– Stefa?... ja... jaka Stefa? – wyjąkał zdławionym głosem.

– No, Stefa Kącka – naturalnie!... – była to kuzynka Woźniewiczów. – Ślicznie wygląda, wychodzi niedługo za mąż... Ogromnie żałowała, że ciebie nie zastała w domu...

– I ja także bardzo żałuję... – mruknął Julek, którego oczy na chwilę rozbłysłe szaloną nadzieją, przygasły znowu, a twarz przybrała dawny odcień blado-żółtawy. Po chwili oświadczył, że nie jest głodny, obiadu jeść nie będzie i wyszedł do swego pokoju, nie dopuszczając żadnych protestów ni perswazyi.

Woźniewiczowa tego samego wieczoru konferowała długo i serdecznie z Kazią o przyśpieszenie terminu ślubu i wyraziła życzenie zapoznania się z jej rodziną, chociaż dotychczas chwilę tę odsuwała od siebie pod różnymi pozorami.

Moment ten przypomniał się Woźniewiczowej. Pieszczotliwie pogłaskała Kazię po ciemnych, starannie ondulowanych włosach.

– Pogadamy sobie jeszcze o szczegółach wyprawy... Chciałabym i ja czemś przyczynić się do stworzenia waszego gospodarstwa... Co to za szczęście, żeście znaleźli mieszkanie...

– To ja znalazłam mamciu – uśmiechnęła się z zadowoleniem – Juleczek nie umie się troszczyć o takie codzienne *idylliczne* rzeczy... Ale on jakoś spóźnia się dzisiaj... Powinien już być...

Woźniewiczowa spojrzała na zegar:

– Istotnie już po ósmej... Gdzie się ten Julek obraca?

Terenia wsunęła jasną główkę przez uchylone drzwi.

– Czy można już podawać kolacyę? Pierożki gotowe...

– Jeszcze niema Julka... Poczekamy na niego.

– Żeby tylko prędko przyszedł, bo się pierożki przestoją! Nieznośny ten Julek! – irytowała się dziewczynka, ogromnie drażliwa na punkcie swych kulinarnych ambicyj.

– Z pewnością zaraz przyjdzie!...

– Ale gdzie on może być? – rzuciła zcicha Kazia, a brwi jej przyczernione ołówkiem, poczęły drgać nerwowo.

Woźniewiczowa, chcąc skrócić czas czekania, zasiadła do starego rozstrojonego pianina, przypominającego kształtem i tonem staroświecki szpinet i zaczęła grać jakiegoś sentymentalnego walczyka z czasów swej młodości. Terenia, namiętna zwolenniczka walca, odrazu jęła wykonywać taniec solowy... Zapraszała wprawdzie Kazię, ale ta nie była usposobiona do tańca, chmurna, zniecierpliwiona, szarpała machinalnie koronkę u bluzki, gryzła wąskie wargi i co chwila spoglądała na zegar.

Woźniewiczowa po walcu zagrała „Reveil du lion", przypomniała sobie ze swego dawnego repertuaru „Carneval de Venise" i rozkołysała pożółkłe klawisze rzewną dumką ukraińską. A Julek nie zjawiał się...

Terenia śmiała, okręcała się wkoło, jak młode, rozswywolone ptaszę, aż wreszcie i ona zwróciła spojrzenie ku tarczy zegara i zawołała rozpaczliwie!

– Pierożki na nic!... a Julka niema!...

Zegar wydzwonił godzinę dziewiątą. Matka przestała grać, Kazia podniosła się z fotelu. Na twarzach obu kobiet znać było silne zaniepokojenie.

– Czyżby mu się co stało? – szepnęła Woźniewiczowa, blednąc na samo przypuszczenie.

(Ciąg Dalszy Nastąpi).

Kronika tygodniowa

I szczęśliwie weszliśmy w drugi tydzień Wielkiego Postu. Jeszcze cztery wielkopostne kroniki i, ani się oglądniemy, jak trzeba będzie składać sobie życzenia wielkanocne. Ponieważ do tego, jak wiadomo, niezbędnem jest jajko, a jajka znoszą kury, zakupił kronikarz z dotychczasowych oszczędności jedną kurkę, aby było przyczem winszować, w ubiegłym bowiem roku skończyło się na samych słowach, gdyż jajka, choć kosztowały jeszcze tylko po kilkanaście marek, należały do rzadkości, nie należy zatem wątpić, że w bieżącym roku, gdy notowane są daleko wyżej na giełdzie, będzie o nie jeszcze trudniej. Oczywiście nie przyznaje się kronikarz szerszemu ogółowi do posiadania takiego skarbu, jakim jest dziś kura znosząca jajka, zwierza się jedynie przed swymi Czytelnikami prosząc ich o dyskrecyę, aby się przypadkiem nie dowiedziały o tem władze skarbowe, które, uważając go za milionera, wymierzyłyby mu i odpowiednią daninę, a tej nie byłby w stanie zapłacić, co najwyżej mógłby ją odsiedzieć.

Żyjemy obecnie w ciągłem oczekiwaniu nowego przesilenia gabinetowego, gdyż na zespół złożony przez pana Ponikowskiego, wymierza się ciągle ataki, raz z prawicy, to znów z lewicy, dla odmiany równocześnie ztąd i ztamtąd. Codzień rano, biorąc do ręki gazetę, patrzymy przedewszystkiem, czy nie ujrzymy na naczelnem miejscu telegramu z Warszawy zacytowanego: „Dymisya gabinetu Ponikowskiego", ewentualnie: „Rekonstrukcya obecnego gabinetu". Już w ubiegłym tygodniu zanosiło się poważnie na zmiany na niektórych fotelach i przy tej sposobności doszła nas radosna wieść, że jednym z kandydatów, a mianowicie na tekę wyznań i oświecenia publicznego, był poseł Ziemi Krakowskiej, redaktor *Kuryerka* i dyrektor „Bagateli", pan Maryan Dąbrowski, na którym dopiero Warszawa się poznała, gdy Kraków dotąd nie umiał go należycie ocenić. Nie dziwimy się też, że pan poseł ma podobno zamiar gwizdnąć na niewdzięczny Kraków, dla którego tyle zasług położył i, nie robiąc sobie nic z gadań Zamorskiego, przenieść na stałe do Warszawy. Zdaje się, że zapatrywania polityczne krakowskiego posła już się zupełnie skrystalizowały i że politykę swą prowadzi po linii ludowców z pod znaku „Piasta", wskazują bowiem na to jego obecne czyny, stojące w niejakiej sprzeczności z dawniejszemi jego zapatrywaniami. Nie tak dawno temu, gdy pan Dąbrowski nie był jeszcze posłem, lecz tylko kandydatem, który nie miał szczęścia przy wyborach, czytaliśmy w *Kuryerku* niemal codziennie, że obecny sejm należy jak najrychlej wysłać na zieloną trawę i postarać się o inny, lepszy, złożony z posłów, nie myślących tylko o własnym interesie, lub swych partyi, lecz o ogólnym. Gruntownej krytyce poddawaną bywała również często działalność piastowców i ich demagogia. Z chwilą jednak, gdy pan Maryan dzięki niedyspozycyi politycznej posła Bardla dostał się nareszcie w progi tak upragnionego sejmowego raju, wszystko zmieniło się, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej. I narzekania na Witosa i jego stronników zniknęły ze szpalt kuryerkowych pokazało się również, że rozwiązanie Sejmu nie jest obecnie na czasie. Nadarzyła się bowiem sposobność, aby pan poseł krakowski dał wyraz temu, o czem pisał przez tyle miesięcy i głosował, za wnioskiem o rozwiązanie Sejmu, postawionym wprawdzie przez Endecyę, ale w każdym razie w myśl jego dawnych życzeń. Tymczasem stało się zupełnie inaczej. Poseł Dąbrowski głosował wraz z ludowcami przeciw rozwiązaniu Sejmu i przeprowadzeniu natychmiast nowych wyborów, gdy zaś ktoś wyraził z tego powodu głośno swe zdziwienie, odpowiedział z najzimniejszą krwią, że zupełnie co innego poseł Dąbrowski, a redaktor Dąbrowski i że jeden nie może brać odpowiedzialności za czyny drugiego. Ostatecznie nie można się temu i dziwić. Za rozwiązaniem i nowymi wyborami głosować mogli ci posłowie, którzy w Sejmie siedzą już trzy lata i albo mają dość tego siedzenia, albo też chętnieby siedzieli dalej i wiedzą o tem, że tam znów powrócą, bo zaufanie wyborców mają zapewnione. Pan Maryan natomiast ani się dotąd należycie w Sejmie nie wysiedział, ani też nie jest pewnym, czy się tam z powrotem dostanie, bo nie tylko „Łaska pańska", ale także i chłopska jeździ na pstrym koniu, a choć ludowcy okazali mu już swą wdzięczność, wysuwając go obecnie, jako swojego kandydata na fotel ministeryalny, nie jest nigdzie napisanem, że zechcą przy następnych wyborach popierać go stale i skutecznie, aby cało wyszedł z urny. Wdzięczność piastowców dla swojego nowego członka powinna być silnie podkreśloną, jako dowód, że najpiękniejsze cnoty nie zamarły jeszcze w naszem społeczeństwie, przeciwnie, rozwijają się w najlepsze.

Aby czytelnika nie zmęczyć zbyt polityką, musimy zrobić przeskok i wrócić do karnawału, z którym tak łatwo, jako że był długi i huczny, pożegnać się nie można. Jeszcze dźwięczą w uszach tony shimmy, fox trotta i t. d., wspomnienia zatem odświeżyć łatwo, tem łatwiej nawet, iż dla wielu karnawał dotąd się jeszcze nie skończył, a „Tańcujące pączki" zamieniły się w „Zawijane śledzie", a podniecenie karnawałowe nie wiele straciło na swem napięciu. Ogólny bilans ubiegłego karnawału przedstawia się dość mizernie, a liczba zawartych małżeństw lub przygotowanych do zawarcia w najbliższym czasie nie stoi w żadnym stosunku do ilości przetańczonych kilometrów i zjedzonych pączków. Jak nas informują z miejskiego Urzędu statystycznego, jedno małżeństwo wypada na trzysta siedmdziesiąt ośm i pół przetańczonych kilometrów, lub 96421 zjedzonych pączków. Jedna i druga cyfra prawie nie do osiągnięcia czy to dla jednej pary nóg, czy też dla jednego żołądka, który taką ilością pączków obciążony, absolutnie nie wytrzymałby. Dobrze przynajmniej, że na ogół obeszło się u nas bez szczególniejszych karnawałowych wypadków, gdy natomiast Warszawa, jak czytaliśmy, jest dotąd ciągle widownią pojedynków i to przeważnie na tle nowomodnych tańców. Jak się zdaje, trzeba będzie u nas pomyśleć o założeniu jakiej dobroczynnej instytucyi, która, na wzór opiekujących się ofiarami wojny, zajęłaby się losem nieszczęśliwych ofiar shimmy, foxtrotta i t. d. Gdyby nie to, że karnawał się już ukończył i nie wypada myśleć o urządzeniu balu na ten cel, trzeba się będzie ograniczyć do dnia „Kwiatka" lub wenty gospodarskiej, dawniej u nas bardzo popularnej i zwłaszcza przez członków komitetu bardzo pożądanej, dziś puszczonej jakoś w niepamięć.

A jeśli kiedy, to obecnie, gdy o artykuły spożywcze tak trudno, byłaby ona bardzo na miejscu, gdyby oczywiście miało się gwarancyę, że wygrane dostaną się w ręce ogółu, a nie jednostek wybranych, poświęcających swe siły i czas opiece nad nieszczęśliwymi w tej nadziei, że przy tej sposobności same się należycie zasilą. Wyobrażamy sobie, jaką radość sprawiłoby umysłowo pracującemu intelligentowi o mruczącym z głodu żołądku wygranie naprzykład choćby nawet chudej gęsi lub kilkofuntowego woreczka mąki. W dawniejszych czasach bezpośrednio przed Świętami Wielkanocnemi odbywały się u nas podobne wenty i cieszyły się ogromną frekwencyą różnych naiwnych, mających nadzieję, że za szóstkę uda się wygrać prosiaka, szynkę lub sarnę. Podobne fanty były wprawdzie, zwykli śmiertelnicy musieli się jednak cieszyć funcikiem cukru, słoiczkiem musztardy lub w najlepszym wypadku flaszką kwaśnego wina, bardzo wskazanego na czas wielkopostny, jako umartwienie grzesznego ciała za występki karnawałowe. Dla „Dobroczynnych osób" miejsce dawnych went zajęło w powojennym czasie rozdawnictwo darów amerykańskich, ponieważ jednak i ono już się skończyło, może zatem i wenty powrócą.

Od karnawału powrót do polityki, aby w ten sposób utworzyć „Tygodniowy przekładaniec". Najważniejszą kwestyę w polityce ogólno-światowej jest obecnie konferencya genueńska, która miała się odbyć już dawno, jak proponowano w Rzymie, ostatecznie naznaczona na 10 kwietnia we Florencyi. Ma się ona zająć sprawą odbudowy Europy w pierwszym rzędzie, ponadto różnemi innemi sprawami, których porządek dzienny omówili ze sobą na ostatnim swym zjeździe Lloyd George i Poincare, zupełnie pogodzeni ze sobą jak twierdzi dr. Benesz dzięki jego umiejętnej interwencyi. Jak się dowiadujemy z pewnego źródła, na owej konferencyi, o ile znowu nic jej nie przeszkodzi, ma być poruszoną i sprawa zadośćuczynienia dla naszego krakowskiego Boya, który w samej rzeczy został zpostponowany podczas obchodów molierowskich w Paryżu, a to dzięki niezaradności tamtejszego naszego dyplomatycznego przedstawicielstwa. Albo nie wiedziało ono, kto przyjeżdża z Polski, albo wiedziało, ale zapomniało ogłosić o tem w należyty sposób *urbi et orbi*, w każdym jednak razie opieszałość jego zasługuje na wytknięcie i zupełnie słusznie może się irytować tak sam Boy, jak i jego przyjaciele. Bo przyznamy się szczerze, że odczuwamy to należycie, jaką boleścią musi być przepełnione serce tłómacza tylu tomów większych i mniejszych arcydzieł literatury francuskiej, gdy o nim prawie że nie wspomniano, a na dobitek krzyż komandorski orderu Legii Honorowej otrzymuje w jakiś czas potem jakiś tam pan Morawski, który, choć jest co prawda prezesem jedynej polskiej Akademii Umiejętności, ale Moliera nie tłómaczył.

Niewiele brakowało, a byłoby z tego powodu przyszło do zerwania stosunków dyplomatycznych między Polską a Francyą, co mogło pociągnąć za sobą bardzo łatwo wybuch nowej wojny światowej, często bowiem małe i na oko niewiele znaczące przyczyny mogą mieć nieobliczalne wprost następstwa. Bezpośrednim powodem wybuchu trzydziestoletniej wojny było wyrzucenie przez okno z ratusza w Pradze komisarzy królewskich, wojnę Trojańską wywołało uprowadzenie pięknej Heleny przez Parysa, w dwudziestem stuleciu obraza Boya mogła pociągnąć za sobą coś podobnego, a że świat jest jeszcze ciągle bardzo wojowniczo usposobiony, kto wie czy ten nowy zatarg światowy nie przeciągnąłby się bodaj do końca obecnego stulecia. Na szczęście narazie mamy spokój, reszty zaś dokona konferencya genueńska, która ochroni świat od nowej pożogi.

Koalicya urządza swoje zjazdy i konferencye coraz to w innem miejscu, jak gdyby chciała się przekonać, gdzie się najlepiej radzi. Mieliśmy zjazdy w Londynie, Boulogne, Spaa, Brukseli, Paryżu, Lozannie, Cannes, obecnie przyszła kolej na Genuę, ewentualnie Florencyę, następne zebranie ma się odbyć podobno na szczycie Mont Everest, słusznem bowiem jest i sprawiedliwem, aby Rada Najwyższa obradowała na najwyższym dostępnym punkcie na ziemi. Ale to faworytowanie Europy zachodniej krzywdzi środkową, która chętnie powitałaby u siebie obecnych władców świata. Czy naprzykład nie mogliby zagościć do nas, aby nas bliżej poznać osobiście, a nie z relacyi brazylijskich lub japońskich rzeczoznawców? Jeśli im chodzi o zaciszne miejsce, oddajemy im do dyspozycyi Kłaj lub Facimiech, nad kwestyą ukraińską mogliby się zastanawiać w Bohorodczanach lub Dwamamoryczu. Lloyd George doznałby z pewnością gorącego przyjęcia tak ze strony członków sławetnego cechu szewskiego, uważających go za swojego z pochodzenia, palestry, która powitałaby w nim kolegę, przedewszystkiem zaś naszej finansiery, gromadzącej się codziennie z wyjątkiem sobót koło restauracyi Spatza na Kazimierzu, mają oni bowiem bardzo wiele do zawdzięczenia jego koziołkom politycznym. Prezydent miasta Krakowa urządziłby oczywiście na cześć kolegi prezydenta gabinetu angielskiego raut w salach Starego Teatru.

Głównym punktem porządku dziennego konferencyi genueńsko-florenckiej ma być, jak już poprzednio zaznaczyliśmy, odbudowa Europy. Aż się płakać chce, gdy pomyślimy o tem, jak będzie wyglądać ta odbudowa, na której obcy kapitaliści zechcą cudzym kosztem robić dobre interesy. Mimowoli przypomina się odbudowa niezależnej Polski, prowadzona własnemi naszemi siłami, a tak bezmyślnie i po partacku, że dziwić się należy, iż ludzie, nie mający pojęcia o tem, czego się podejmują, zabierają się do dzieła. A jeśli tak postępują swoi, czegóż dopiero spodziewać się można po obcych. W pierwszym wypadku ma się do czynienia z niedołęstwem, posuniętem do ostatecznych granic, w drugim będzie się miało z chęcią jak największego zysku.

Dowiadujemy się, że telefony w Polsce oddane przedsiębiorstwu szwedzkiemu, koleje biorą w dzierżawę Amerykanie, puszcza się z rąk monopol tytoniowy, saliny, wyrąb drzewa, węgiel, naftę itd. Nasi „wielcy" cieszą się, że nie będą mieli kłopotu z rządzeniem. Jako powód pozbywania się wszystkiego podaje się, że poszczególne gałęzie gospodarki krajowej przynoszą tylko deficyt, ponieważ zaś trudno przypuścić, aby kapitaliści przejmowali je jedynie tylko w chęci przyjścia nam z pomocą, a nie zysku, *ergo* gospodarowaliśmy nieudolnie, bez oglądania się na jutro, przy użyciu nie uzdolnionych ludzi, jakich nam nie brak, lecz protegowanych. Łatwo też stać się może, że Polska zejdzie do roli „chorego człowieka nad Bosforem", którego Europa leczyła tak długo i skutecznie, aż zniknął z jej mapy.

Najlepszą illustracyą naszej dotychczasowej polityki bezhołowia i ambicyjek partyjnych jest rycina, umieszczona na naszych markach pocztowych. Widzimy na niej obywatela w najzupełniejszym negliżu, siejącego ziarno, obok wbity w ziemię miecz. Nie jest to przedstawienie sytuacyi zupełnie dokładnie malujące obecne nasze stosunki, gdyż siewca powinien by być zupełnie nagi, miecz ów nie oznacza też gotowości do obrony, jest jedynie strachem na wróble, aby przedwcześnie nie wydziobały ziarna nim ono zejdzie, bo ktoś już czeka, aby plon zebrać.

Smutne to, ale niestety, prawdziwe.

W chwili, gdy kronika znalazła się już w całości na papierze, dochodzi nas wieść z Warszawy, że gabinet Ponikowskiego podał się do dymisyi, o tem jednak pan matrampaż pozwoli pomówić dopiero w następnym numerze.



Z pod znaku Melpomeny: Marya Segeny, utalentowana autorka „Bez steru“, sztuki w 3 aktach, mającej się pojawić w najbliższych dniach na deskach warszawskiego Teatru na Pradze.

Z pod znaku Melpomeny.

Teatr na Pradze we Warszawie pozostawiał, dopóki był pod zarządem miejskim, bardzo wiele do życzenia, a jakoś nie mógł się nikt znaleźć, kto chciałby się zająć spełnieniem słusznych żądań publiczności, szukającej tam napróżno rozrywki umysłowej. Stosunki te zmieniły się radykalnie z dniem 1. grudnia 1921., to jest z chwilą objęcia Teatru praskiego przez dyr. Adama Zajączkowskiego, znanego i zasłużonego kierownika sceny wileńskiej i sosnowieckiej. Nowy dyrektor w krótkim czasie i trudnych warunkach zdziałał bardzo wiele, a działalnością swą dotychczasową stwierdził, że nie jest dyrektorem-przedsiębiorcą, chcącym z teatru wyciągnąć dla siebie jak największe materyalne korzyści, lecz że rozchodzi się mu przedewszystkiem o to, aby oddawna pod jego pieczę tak ważna, jak teatr, placówka kulturalnego życia, stała się prawdziwą świątynią Sztuki, teatrem stołecznym, a nie rentowną budą prowincyonalną. Zabiegi jego uwieńczył pożądany skutek. Zespół artystów jest doskonale dobrany, — dotychczas wystawione sztuki spotkały się z ogólnem uznaniem, będące w przygotowaniu rokują te same nadzieje. Do obsady Teatru praskiego należą między innymi: Pp.: E. Różańska, Fiszerówna, Wojciechowska, Biskupska, Czaplicka, Bielecka, Kopczyńska, Wisłocka, Mirecka, Pomorska, Szostandówna, Kępińska. P. p: Wojciechowski, Wiśniowski, Brusikiewicz, Szarkowski, Kępiński, Zelski, Chmurkowski, Bolesta, Przyjemski, Karbowski, Wicho.

W repertuarze wystawionych dotąd sztuk wybiły się na pierwsze miejsce: Jeńcy, Panna Maliczewska, Żywy trup, Dom waryatów, Chata za wsią, Tkacze, Florek się żeni, Stare miasto, Płomiennicy, i t. d. Wszystkie, wyreżyserowane należycie i wystawione z całym nakładem starań, odniosły też sukces zupełny, świadcząc chlubnie o gorliwości kierownika sceny, który, zdany na własne siły, potrafił podnieść nie tylko artystyczny poziom praskiej sceny, lecz zwalczyć także liczne trudności administracyjne, jak odrestaurowanie zniszczonego budynku skompletowanie dekoracyi i kostyumów, bez uciekania się do obcej pomocy finansowej.



Rocznica Molierowska we Lwowie: Pp. Justian i Łozińska w Moliera „Szkole żon“.

Ze sztuk, będących w przygotowaniu wymienić należy: „Sonatę cieni“ Strindberga, „Fausta“ i „Bez steru“. Zwłaszcza ta ostatnia sztuka, która w najbliższych dniach ujrzy światło kinkietów, budzi ogólne zainteresowanie. Wyszła ona z pod pióra znanej autorki powieściopisarki i wybornej tłómaczki utworów beletrystycznych literatury obcej, p. Maryi Segeny. Jest to dobra znajoma Czytelników „Nowości Illustrowanych“, którzy z takiem zajęciem śledzili przebieg drukowanej niedawno na łamach naszego pisma oryginalnej powieści na tle współczesnych stosunków powojennych p. t. „Gorączka złota“, dzięki której nasi paskarze i lichwiarze zyskiwali miano „Gawlików“. Jej pracą było tłómaczenie doskonałej, a tak zajmującej powieści, jak Matyldy Serao „Ucięta ręka“, oraz wychodzącej obecnie „Zil-X.“, nie mówiąc już o innych utworach i tłómaczeniach, drukowanych poprzednio, a przyjmowanych przez Czytelników z pełnem uznaniem, na jakie sobie zasłużyły. „Bez steru“ jest sztuką w trzech aktach, a na tym samym temacie osnutą była powieść, drukowana poprzednio w „Nowościach Illustrowanych“. Interesująca fabuła powieści każe się spodziewać, że „Bez steru“ znajdzie i na scenie przychylne przyjęcie krytyki i publiczności.



Rocznica Molierowska we Lwowie: „Szkoła żon“ Moliera na scenie Teatru Wielkiego we Lwowie.

Rocznica Molierowska we Lwowie.

Trzechsetną rocznicę urodzin Moliera, ojca współczesnej komemedyi francuskiej, a za nią i polskiej, obchodził Lwów uroczystem przedstawieniem „Szkoły żon“ tegoż autora. Na przestawieniu tem zebrał się w Teatrze Wielkim lwowski świat naukowy, literacki,



O pomoc dla głodującej Rosyi: Słynny podróżnik Nansen, po powrocie z głębi Rosyi przedstawia wobec tłumów, zebranych w sali teatru „Trocadero“ w Paryżu, opłakane stosunki, panujące w guberniach dotkniętych głodem.

wielbiciele talentu Moliera, oraz przedstawiciele francuskiej kolonii. Sala teatralna wypełnioną była po brzegi, nastrój panował uroczysty, jak tego wymagała powaga chwili, zebrano się bowiem nie w celu spędzenia przyjemnie kilku chwil, lecz aby oddać hołd wielkiemu pisarzowi i zaznaczyć w ten sposób duchową łączność z bratnim narodem, któremu na każdem polu tyle mamy do zawdzięczenia.



Habsburgowie na wygnaniu: Ex cesarzowa Zyta z dziećmi, następcą tronu Ottonem, Robertem Karolem i Adelajdą, po opuszczeniu statku, na którym przybyła do Funchal.

Przedstawienie poprzedziła prelekcya prof. Czernego, ujmująca w systematycznym zarysie najbardziej zasadnicze „problemy Moliera". Słów prelegenta wysłuchano z żywem zainteresowaniem, a gorące oklaski, które je nagrodziły były dowodem, że słuchacze podzielają w zupełności zapatrywania prelegenta o ile to dotyczy znaczenia Moliera d'a rozwoju współczesnej komedyi.

Przedstawienie „Szkoły żon" wypadło pod każdym względem dodatnio, przynosząc prawdziwy zaszczyt artystom sceny lwowskiej, którzy dołożyli wszelkich starań, aby arcydzieło francuskiego mistrza wypadło pod każdym względem bez zarzutu. Świadczy o tem sprawozdanie jednego z lwowskich recenzentów teatralnych, które pozwolimy sobie przytoczyć poniżej:

„Mówi się nieraz o pokrewieństwie rasowem kultury naszej i francuskiej. Są to rzeczy zbyt głęboko sięgające, by je można z powierzchownych podobieństw wywnioskowywać; to pewna, że do takich wniosków czuje się ochotę, gdy się widzi, jak łatwo, jak bez trudu, instynktownie niejako aktor nasz potrafi wnikać w ducha komedyi Molierowej. Naturalnie, że mówiąc to myślę przedewszystkiem o p. Justianie, który tak doskonale grał Arnolfa, pana na Rosochach, a omal, że i z rosochami.

Prostszą daleko rolę Anusi zagrała bardzo ładnie p. Łozińska. Doskonałym głupkowatym Grzelą był p. Zbrojewski, wysuwający się w ostatnich czasach wyraziście naprzód wśród naszego zespołu drama-tycznego. P. Melina grał rolę, którą—o ile się w tych skomplikowanych rzeczach oryentuję — nazywa się w języku scenicznym „charakterystycznym amantem"; mam wrażenie, że właśnie te ściśle teatralne określenia pojęciowe powodują także pewne konfuzye, jak ta, która widoczna była w grze p. Meliny: nie mógł jakoś utrzymać się na linii granicznej tych dwu pojęć, a niechciał — zapewne — jej zatrzeć. Dobre epizody dali: p. Helski Kowalski, doskonały, jak zawsze, w charakterystyce i p. Lochman również w przepysznej masce, jakby żywcem wziętej z jakiegoś Colasa Breugnona. P. Malinowska pokazała kilka ładnych stron swego talentu. Drobniejsze role epizodyczne grali pp. Lewicki i Larewicz.

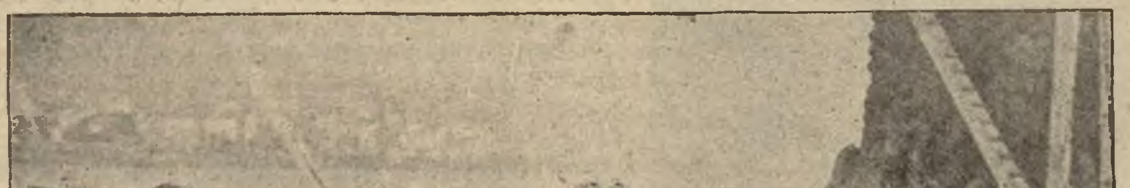
Rzecz była tedy grana z małymi wyjątkami, bardzo dobrze. Wystawa, z miłą ramą barokową na prosceninm, była bardzo ładna".

O pomoc dla głodującej Rosyi.

Akcya ratunkowa, przedsięwzięta przez świat cały na rzecz ludności rosyjskiej, ginącej milionami z głodu, zatacza coraz to szersze kręgi. Nieszczęśliwym ofiarom przedtem tyranii carskiej, obecnie stokroć gorszej od tamtej, bolszewickiej, spieszy z pomocą każdy, kto sobie z tego sprawę zdaje, że lud ten nieszczęśliwy, skazany dziś na zupełną zagładę, nie ponosi przecież winy za to zło, jakie światu wyrządzili dawniejsi i obecni jego tyrani, z którymi on sam nic a przynajmniej bardzo niewiele miał wspólnego. Ludu rosyjskiego nie można identyfikować z systemem rosyjskim, tak ogólnie znienawidzonym, a będącym dziełem obcych rąk.

Z ramienia tak państw koalicyjnych, jak i poszczególnych komitetów ratunkowych, zawiązanych w różnych krajach, wysłano w głąb Rosyi, w okolice najbardziej głodem dotknięte, delegacye, mające zbadać na miejscu istotny stan rzeczy. Mimo trudności z jakiemi delegaci spotykali się na każdym kroku ze strony rządu bolszewickiego, który żebrał o pomoc u świata, a ich czynności starał się paraliżować, dokonali swego zadania, a to, co tam widzieli i co światu obwieścili, jest tak straszne, że poprostu słowom ich nie daje się wiary, choć stwierdzają je przywiezione przez nich zdjęcia fotograficzne.

Misya Nansena, słynnego podróżnika powróciła już z Rosyi, a jej przewodniczący z końcem ubiegłego miesiąca składał z niej publiczne sprawozdanie w Paryżu, w sali teatru Trocadero, wobec kilku tysięcy słuchaczów ze wszystkich sfer społeczeństwa. Słowa Nansena tłómaczone bezpośrednio na język francuski (przemawiał po angielsku), a illustrowane przeźroczami, rzucanemi na ekran, mroziły krew w żyłach, a ogólne współczucie słuchaczów towarzyszyło jego wywodom, przedstawiającym w bardzo dosadny sposób losy nieszczęsnej Rosyi, której 33 miliony cierpi głód, 19 milionów padło już jego ofiarą, a ten sam los czeka jeszcze 12 milionów, jeśli pomoc nie nadejdzie lub przybędzie zapóźno. Na zakończenie chór rosyjski odśpiewał przy towarzystwie orkiestry szereg narodowych pieśni, w których smutnej nucie odzwierciadlała się dusza ginącego narodu. Wiele osób płakało ze wzruszenia.



Habsburgowie na wygnaniu: Para cesarska wraz z dziećmi opuszcza w automobilu port w Funchal, by się udać do swej willi.

Jeden z członków misji Nansena w Moskwie bawiący w Warszawie opowiadał, że stan gospodarczy Bolszewii coraz więcej chyli się do upadku. Z najżyźniejszych i najwyżej uprzemysłowionych gubernii tworzy się pustynia. Nowi pionierzy są obecnie potrzebni wszędzie tak w dziewiczych lasach Ameryki jak w tundrach gubernii Permskiej lub północnej Syberyi. Nowe życie trzeba tworzyć. Miliony przypadną odważnym przedsiębiorcom, opartym o silne kapitały. Nowa polityka Sowietów jest zwrotem koniecznym, bo ludzie giną wskutek braku pracy, nasion, maszyn i stosownych warunków. O powrocie do iluzyi bolszewickich mowy być nie może. Poza Moskwą wszystko zamiera. Z bujnej niegdyś Ukrainy pozostały puste pola, stepy, rozwalone kominy fabryczne i zdewastowane szyby kopalń. Niczego dostać nie można. Sól sprowadza się z Rygi w zamian za len i konopie nic więcej, bo handel ustał z Łotwą.

Polityka Bolszewii to polityka gospodarcza rozpaczy i wytężenia sił do granic ostatnich. Sowiety starają się omanić Europę, lecz Europa powinna wspólnie, na własny rachunek, iść do Rosyi jak do zamarzniętej i głodnej Klondyke.



Habsburgowie na wygnaniu: Ex-cesarz Karol opuszcza pokład okrętu który przywiózł jego rodzinę na Madeirę, znosząc małego arcyksięcia Feliksa Fryderyka.

Habsburgowie na wygnaniu.

Rodzina byłego cesarza Austryi i króla Węgier znalazła się już w komplecie w miejscu obecnego swojego stałego pobytu w Funchal na Madeirze. Cesarzowa Zyta, o której powrocie ze Szwajcaryi donosiliśmy niedawno, przywiozła ze sobą także i dzieci, wobec czego ustaje potrzeba opuszczania wyspy, by się zająć ich losem lub pielęgnować w razie słabości, jak to miało miejsce w ostatnim wypadku.

Cesarsko królewscy wygnańcy pędzą na Madeirze żywot bardzo spokojny, nie różniący się niczem od życia zwykłego śmiertelnika. Ludność miejscowa widuje ich bardzo rzadko, gdy bowiem poprzednio odwiedzali codziennie katedrę, obecnie nie czynią tego z powodu zbyt wielkiego oddalenia, mając kaplicę domową, urządzonej w swej willi. Excesarz spędza czas na czytaniu, wycieczkach automobilem w okolicę i polowaniu, ponadto sporo czasu poświęca dzieciom, małżonka zajmuje się niemi wyłącznie oraz gospodarstwem domowem. Z powodu zbliżania się pory upałów, nieznośnych dla człowieka, do tamtejszych warunków atmosferycznych nie przyzwyczajonego, stara się cesarz u Rady Najwyższej o pozwolenie spędzenia tego czasu w Anglii i spodziewa się, że je uzyska.

Przy sposobności powrotu excesarzowej na Madeirę przez południową Francyę, udało się korespondentowi paryskiego „Matina" uzyskać u niej wywiad w czasie odpoczynku w Bordeaux. Opowiadała mu ona swobodnie o przeszłości. Między innemi,

wspomniała też o słynnym zjeździe cesarza Karola z cesarzem Wilhelmem w Homburgu, w lecie 1918 r. Na zjeździe tym obecne były, oprócz obu cesarzów i mnóstwa dostojników wojskowych, także obie cesarzowe. Zyta, będąca prawdziwem „enfant terrible" tego poważnego zebrania, odezwała się nagle do cesarzowej Augusty:

— Gdyby tak padła tu, śród nas, bomba, to wyrządziłaby spustoszenie senzacyjne!

Na uwagę te cesarzowa niemiecka odparła:

— Lotnicy francuscy byliby zupełnie gotowi to uczynić!

— Nie sądzę! — zawołała Zyta. — Lotnicy francuscy nie byliby zdolni rzucić bomby na dom, w którym znajdują się dwie kobiety. Chociaż mogą się zdarzyć błędy ze strony młodych lotników, pragnących się odznaczyć.

I dodała złośliwie:

— Tak naprzykład, gdy w dzień urodzin króla belgijskiego lotnik niemiecki rzucił bombę na willę, w której znajdował się król z królową i omal nie zabił królowej, to postąpił tak — oczywiście — tylko przez nieopatrzność!

Usłyszawszy to, cesarzowa Augusta pokraśniała i przypomniała sobie nagle, że ma się o coś spytać Ludendorffa.

Z TEATRÓW.

Teatr im. J. Słowackiego: *Dzieci ziemi*, 3 akty i interludyum Tadeusza Rittnera.

Nie potrzeba chyba podnosić twórczej wartości tego wykwintnego pisarza, tak przedwcześnie zmarłego z niekłamaną szkodą dla piśmiennictwa polskiego; sądzę jednak, że nie ujmuję w niczem śp. Rittnerowi zasług i wielkich walorów artystycznych, można powiedzieć śmiało, że najdoskonalszemi sztukami pośród jego utworów scenicznych były takie, jak „Głupi Jakób", „W małym domku" itp., to jest te sztuki, gdzie z przedziwną subtelnością i bystrością umysłu ręką wprawną a miękką malował życie realne, dyskretnie zazierając do najskrytszych tajników i tajemnic... Natomiast podpisanego mniej zachwycają utwory symbolizujące, lub też chcące spoić w organiczną całość symbol z rzeczywistością. Widzę w nich bezwarunkowo dużo poezyi, owszem poezyę bezwzględnie czystą i niekłamaną, widzę wielkie loty i wspaniałe skrzydłem natchnienia zatoczone koła, ale nie mniej dostrzegam w tego rodzaju utworach jakoweś załamania, rozdźwięki, niejasności, które psują układ i harmonię całości, które pozostawiają w duszy słuchacza i widza pewnego rodzaju uczucia czegoś nierozjaśnionego, niepewnego i wątpliwego...

Takie wrażenie odebraliśmy np., słuchając „Dzieci ziemi"... Zaraz w I. akcie słyszymy, że młoda wdowa (Matka) czyni sobie gorzkie wyrzuty, iż — znużona — chwilowo nie była obecną duchem przy mężu, który, jako zawołany taternik, poszedł na szczyt wirchu i tam zginął... Powiedzenie jej, że dotąd mężczyźnie (mężowi czy synowi) nic złego się nie stanie, dopóki kochająca kobieta jest stale przy nich myślą, sercem i duszą — jest prześliczne i może prawdziwe!! — ale dlaczego spada z aeroplanu jej syn, mimo, iż ta matka stoi przy nim i duchem i nawet okiem ciała?... Czy dlatego, że ten syn lata bez jej woli? Ależ ta matka mu na to zezwoliła; prawda, że niechętnie, ale chyba i mężowi swojemu jego wycieczek po górach także „z chęcią" i przekonaniem nie pochwalała.. Wszak kochająca kobieta woli mieć mężczyznę w pokoju przy sobie, niż na szczytach gór wśród niebezpieczeństw, choćby przy największej sławie...

A ta Wiktorya? Symbol pędu w górę do sławy? Co za jedna i dlaczego w symbolu jest wychowanicą kowala, a tak bardzo ciążącą nad domem wdowy? Takich pytań można stawiać dużo, bo wiele w sztuce niejasności i nierówności; obok pysznych scen — momenty nawet dość teatralne. Całość jednak ciekawa i dowodząca, że z prawdziwym talentem mamy do czynienia. Grano ją bardzo dobrze i starannie. Miłość macierzyńską wyniosłe i godnie reprezentowała p. Bednarzewska. Niezrównanym staruszkiem był pan Szymborski, a godną partnerką p. Kosmowska. Dzielnie grał Michała p. Niewiarowicz (pierwsza rola w „dużym" stylu), niespodziankę sprawił p. Malinowski (wuj) oraz Modrzewski (kowal). Kreacye bardzo dobre. Wiktoryą, wyzwoloną z erotyzmu, więc dzielną i twardą, była p. Modzelewska. Reżyserował doskonale dyrektor Trzciński. *b.—t.*



Z Teatrów: Scena „Dzieci ziemi". Pp. Modzelewska (Wiktorya), Niewiarowicz (Michał), Bednarzewska (Matka).



Z Teatrów: Scena zbiorowa w „Dzieciach ziemi". Przy stole: Pp. Guttner (proboszcz), Kosmowska i Szymborski (dziadkowie). Za nimi p. Ordyńska (ciocia) i Malinowski (wuj). W drzwiach p. Niewiarowicz (Michał) obok Krasnowiecki (Andrzej).

OGŁOSZENIA

Właściciele wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Julian Bartoszewicz. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina pod zarz. St. Kowalskiego